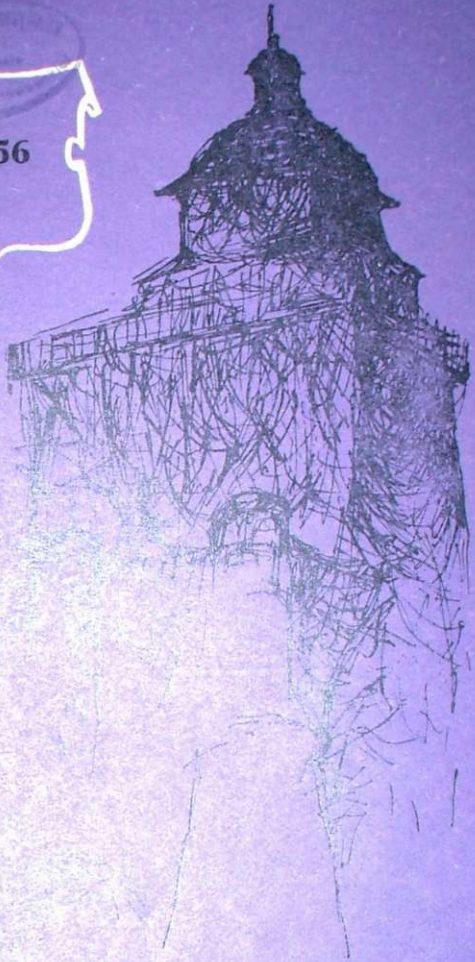


37 ob.



KAMENIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN

NR 6 (112)

KAMMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 6 (112)

Stefan Król

Z PROBLEMÓW INTELIGENCJI

Cały naród objęła fala dyskusji. Dyskusji o wszystkich dziedzinach naszego życia politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Dziś wyjaśniamy sobie błędy minionego okresu i wykrywamy zło po to, by prowadzić z nim skuteczną walkę. W tej ogólnej dyskusji chciałbym bardzo pobieżnie poruszyć zagadnienie stosunku do inteligencji w minionym okresie. Problem ten wymaga tym bardziej omówienia, że jeszcze ostatnio usłyszano groźne pomruki pod adresem inteligencji ze strony ludzi przywykłych do systemu błędnych pojęć i ocen naszej ludowej inteligencji, jej roli i zadań w Polsce budującej socjalizm. Konkretnie sprawa sprowadza się do tego, że na jednym z zebrań w Łodzi próbowano wbić klin pomiędzy naszą inteligencją i klasą robotniczą. Zarówno prasa jak i szeroka opinia partyjna potrafiła dać odpór temu wystąpieniu. Istotne jest jednak, skąd biorą się, z jakiego systemu pojęć wyrastają zdania takie jak niefortunnego prelegenta łódzkiego. Zapewne z niezrozumienia sobie sprawy, że w jedenaście lat po wyzwoleniu nasza inteligencja stara i nowa jest w swej masie jak najściślej związana z klasą robotniczą. Tej jedności, która się cementowała w codziennym trudzie budownictwa socjalistycznego minionego dziesięciolecia nikt nam nie wydrze, i nikomu nie wolno zaprzeczać jej istnienia.

Jasne jest, że tego typu działacze partyjni i państwowi jeszcze zdarzają się na różnych szczeblach aparatu, swymi ocenami, nieufnym i sekciarskim podchodzeniem do inteligencji, fałszywym i antymarksistowskim pojmowaniem jej roli — wyrządzają jej krzywdę usuwając ją de facto na margines życia społecznego.

Stwierdzić należy, że stanowisko naszej partii w kwestii naszej inteligencji było wyraźnie sprezyzowane. Nie mniej jednak — nie dość konsek-

wentnie realizowane. Dlatego przez okres dziesięciolecia a i dziś w odleglejszych „od Warszawy“ kątach pokutować mogły poglądy wrogie w stosunku do inteligencji, poglądy nie dające się pogodzić ze stanowiskiem partii w tej sprawie. Głosiciele tych niesłusznych poglądów traktowali inteligencję jako siłę obcą, a nawet wroga wobec klasy robotniczej i pracującego chłopstwa, traktowali ją lekceważąco, nawet pogardliwie, wyolbrzymiając do rozmiarów „teorii“ sprawę niektórych szybko niknących inteligencjskich kompleksów. Zapomnieli oni o tym, że w trakcie rozwoju i przeobrażeń w Polsce Ludowej inteligencja zdążyła się gruntownie zmienić pod względem składu socjalnego i położenia ekonomicznego, że zmieniła się jej rola i zadania społeczne, że przełamując zastarzałe kompleksy, zbliżyła się do klas pracujących uczciwie, wraz z nimi budując socjalistyczną Polskę.

Z tej zasadniczej różnicy między dawną burżuazją a dzisiejszą socjalistyczną inteligencją ci działacze nie zdawali sobie sprawy, przenosząc na czasy dzisiejsze poglądy i stosunki, które miały miejsce w Polsce przedwrześniowej, w której większość inteligencji obiektywnie służyła obszarnikom i kapitalistom. Ale nawet i w tym wypadku było niesłusznym upraszczaniem obrazu rzeczywistości, obrazu, w którym zacierano piękną i wielką rolę, jaką odgrywała najlepsza, postępową część inteligencji przedwrześniowej w walce z sanacyjnym i nacjonalistycznym faszysmem.

Nie da się także zaprzeczyć fakt, że i w okresie dziesięciolecia stara inteligencja odegrała doniosłą rolę w życiu gospodarczym i kulturalnym kraju. W toku tej jej pracy dokonało się wielkie przeobrażenie jej świadomości politycznej.

Jeśli chodzi o nową inteligencję, to wyrosła ona w ogromnej większości z synów i córek ro-

botników i chłopów. Niejednokrotnie zaś sami robotnicy i chłopci wchodzili w szeregi inteligencji czy to jako racjonalizatorzy produkcji czy też absolwenci szkół inżynierskich, agronomicznych czy kursów zaocznych na wyższych uczelniach. Wystarczy przejrzeć kartotekę osobową w jakimkolwiek zakładzie pracy, aby przekonać się, że kadra fachowców w wyższym wykształceniu składa się w większości z ludzi, którzy studiowali po wojnie. Około $\frac{2}{3}$ całej liczby inteligencji w kraju ukończyło studia już w latach władzy ludowej. Nasze ogromne przemiany gospodarcze i kulturalne są przeważnie dokonywane wysiłkiem ich mózgów i rąk. Nasza socjalistyczna inteligencja wyrosła z ludu i jemu służy z całego serca i wszystkich sił i od niego oderwać się nie da. Dziwne więc wydaje się stosowanie starych teorii o nowej inteligencji. Ich wyznawcy przekonani są widocznie, że wczorajszych robotników i chłopów czy ich dzieci traktować należy z powodu ukończenia wyższych studiów czy wykonywania pracy umysłowej — jako ludzi gorszego gatunku. A może ci dziwni „działacze“ chcą w ten sposób stwierdzić, że wykształcenie to rzecz niepotrzebna i szkodliwa?

Do nowej inteligencji trzeba stosować nową teorię i w pełni realizować wskazania Partii: „Szczególną uwagę winna partia poświęcić zadaniu wykorzystania dla państwa i narodu talentów i patriotyzmu naszej inteligencji pracującej... Współudział naszej inteligencji w życiu Frontu Narodowego jest zagadnieniem niezmiernie ważnym. Przyciągnięcie naszej twórczej inteligencji — w większej niż dotychczas mierze — do pracy państwowej i społecznej winno być pilnym zadaniem naszej partii“ (B. Bierut).

Tak więc specjalnej opieki wymagają absolwenci wyższych uczelni, których nakazy pracy skierowały do prowincjonalnych miasteczek. Dziś

w każdym prawie mieście powiatowym pracuje po kilkunastu absolwentów wychowanych przez ludowe wyższe uczelnie — lekarzy, prawników, nauczycieli, agronomów itd. Nie brak wśród nich członków partii, ZMP oraz licznych bezpartyjnych marksistów. Zdać sobie trzeba sprawę, że przychodzą oni do nieznanym sobie miejscowych warunków, nie zawsze dostatecznie przygotowani przez wyższe uczelnie do zadań, jakie przed nimi stają na odcinku pracy zawodowej, politycznej i społecznej. Jeśli pozbawieni są oparcia w Partii, ZMP i Komitecie Frontu Narodowego oraz opieki politycznej, zaczynają borykać się z trudnościami, do których nie byli w pełni przygotowani, a które przerastają siły pojedynczego człowieka. Po pewnym czasie są to ludzie zgorzkniali, ulegający drobnomieszczańskiej atmosferze środowisk małomiasteczkowych. Jeśli nikt się nimi nie interesuje — zaprzestają walki o przeobrażenie życia miasta czy zakładu, w którym pracują. Brak rozwiniętych form życia kulturalnego spycha ich życie towarzyskie do knajpy. Tak zaczyna się prowincjonalna „śmierć inteligenta“.

Trzeba przecież zwrócić uwagę, że ci ludzie osiedlają się w tych miasteczkach z pełnią wiary, zapału i chęci czynu, że mają zamiar czegoś dokonać. Są oni wielką potencjalną siłą, którą należy wyzwolić, odpowiednio zorganizować i skierować do działania. Ludzie ci mogą przynieść wielką pomoc Partii i organizacjom społecznym w walce o rozwój życia politycznego, społecznego i kulturalnego każdego ośrodka miejskiego. Ale po to, aby mogli oni działać — muszą być właściwie ocenieni. Dlatego wszyscy działacze partyjni i państwowi zrozumieć muszą, że nasza inteligencja — to nowa, socjalistyczna inteligencja.

Stefan Król



KLUBY — RUCH SPOŁECZNY INTELIGENCJI*)

Wiemy, że najwybitniejsi przedstawiciele inteligencji postępowej byli przywódcami ruchu robotniczego (...) powiązali się z klasą robotniczą, przekazywali jej swoją wiedzę, złożyli na rzecz rozwoju ruchu rewolucyjnego swoje wykształcenie, swoją kulturę. Miało to olbrzymie znaczenie i niesposób tego nie widzieć i ocenić przy rozpatrywaniu wydarzeń historycznych.

(Z przemówienia Bolesława Bieruta na Sesji Naukowej w Lublinie, odbytej w dn. 26 i 27 listopada 1955 r.).

Być może, artykuł ten pisany jest „drętwą mową”. Być może, roi się w nim od utartych terminów i pojęć, jak: „aktyw”, „awangarda”, „budownictwo”, choć temat tych rozważań jest niemal dziewiczy i dotyczy spraw pasjonujących. Celowo jednak wyeliminowałem z nich różne kuszące dygresje literackie, poprzestając na suchym, relacyjnym charakterze artykułu i na przypomnieniu szeregu truizmów. Celowo — dlaczego? Bo są pewne truizmy, które powtarzać trzeba dopóty, dopóki nie przestaną być tylko sloganem dla jednych, a ponętym hasłem dla innych, dopóki nie uzasadni ich istnienia praktyka dnia codziennego — dopóki nabrzmieją soczystą treścią życia.

Do takich truizmów, które pozornie stały się własnością ogółu, a w realizacji natrafiają na różne kompleksy, uprzedzenia i obawy paraliżujące działanie, należy aktywizacja społeczna inteligencji. Ruch klubowy, zmierzający do wyprowadzenia inteligencji z pozycji defensywnej, z zamętu ideologicznego, z chaosu wątpliwości i bierności na pozycję czynnego, rzędującego uczestnictwa w wielkich przemianach rzeczywistości zasługuje na obszerny informacyjny artykuł.

Nawet wówczas, gdy zawiera szereg truizmów.

I. Źródła dyskryminacji

Od kilku miesięcy jesteśmy świadkami powstawania w Polsce samodzielnego i oddolnego ruchu klubowego, obejmującego coraz szerszy ogół inteligencji. Z każdym miesiącem notujemy na mapie powstawanie nowych organizacji klubowych i to nie tylko po kilka w wielkich miastach jak Warszawa (6 klubów), Kraków, Poznań, Gdańsk, Lublin (3 kluby), ale przede wszystkim w miasteczkach i osadach fabrycznych na głuchej prowincji. Fakt ten jest zjawiskiem niezmiernie radosnym i ma określoną wymowę społeczną.

Świadczy on o ukrytych do niedawna rezerwach sił społecznych i inicjatyw kulturalnych, które w oparciu o historyczne już dzisiaj uchwały XX Zjazdu można było wprowadzić do wielkiej walki o socjalizm, o demokrację naszego życia społecznego, o pełne i odpowiedzialne urzeczywistnienie programu Frontu Narodowego.

Do takich potężnych rezerw naszego narodu, dotąd niewykorzystanych w tej walce lub tylko w niewielkim stopniu wykorzystanych, należy aktywność inteligencji jako grupy społecznej, jako warstwy obejmującej zarówno producentów dóbr kulturalnych i duchowych, jak i kierowników życia gospodarczego.

Ruch klubowy stanowi pierwszą w naszym ustroju i zasadniczą próbę samoistnej działalności inteligencji na płaszczyźnie międzyzawodowej. W okresie bowiem, który zwykliśmy nazywać okresem „kultu jednostki”, wszelka inicjatywa społeczna tej warstwy musiała się wydać podejrzana politycznie, jeśli nie ograniczała się do ścisłego wykonywania dyrektyw aparatu państwowego dotyczących zadań produkcyjnych danego zawodu lub branży. Wystarczy choćby przypomnieć całkowitą zależność związków twórczych od administracji państwowej w latach ubiegłych, aby uświadomić sobie, w jakim stopniu iluzoryczna była samodzielność tych grup społecznych, które z natury rzeczy stanowią awangardę intelektualną każdego narodu i kształtują jego ideologiczne oblicze.

Dopiero od kilku miesięcy można mówić o przywróceniu inteligencji, jako warstwie, jej właściwej roli społecznej.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że w świetle uchwał XX Zjazdu, a teoretycznie nawet już i III Plenum, nastąpiła generalna rehabilitacja takich wartości społecznych i moralnych, jak inicjatywa, jak samodzielność myślenia, jak twórcza krytyka, jak poczucie osobistej odpowiedzialności człowieka za rzeczywistość, w której żyje i działa, jak prawo stowarzyszania się ludzi związanych wspólnymi celami — do walki o ich urzeczywistnienie.

Tym odwiecznym wartościom zawdzięcza swoje istnienie i rozwój każdy ruch rewolucyjny w historii, a zwłaszcza socjalizm. Bez nich nie byłoby Manifestu Komunistycznego i Międzynarodówek. Nie zapłonęłyby polskie niebo luną rewolucji 1905 roku. Francja nie przeżyłaby bohaterskich dni Komuny — Rosja Wielkiego Października.

I nagle, kiedy rewolucja zmiotła stare ustroje i wznosić zaczęła nowy gmach społeczny, okazało się, że inicjatywa, odwaga, odpowiedzialność, zasada stowarzyszania się — te same prawdy, które były nakazem sumienia i honoru klasy robotniczej i jej czołowych działaczy, przestały być potrzebne — więcej, zaczęły nawet przeszkadzać naszemu marszowi do socjalizmu. Paradoks ten nie trudno wytłumaczyć. Wynikł

*) Autor artykułu jest członkiem aktywu Klubu Krzywego Koła.

• W dn. 29 i 30 czerwca odbył się w gmachu Sejmu w Warszawie Krajowy Zjazd Klubów Inteligencji. Fragmenty niniejszego artykułu (cz. II, III i IV) stały się tematem przemówienia wygłoszonego na Zjeździe. Owówienie Zjazdu zamieścimy w następnym numerze.

on stąd, że czołowi przywódcy rewolucji postawili znak równania między „ciągotami“ do dyktatury autokratycznej a rzeczywistą dyktaturą proletariatu. Umacniając kult jednostki w społeczeństwie przy pomocy bezwzględnego tłumienia krytyki — unicestwili najgłębsze, najbardziej humanistyczne treści socjalizmu i spaczoną interpretację rewolucji narzucili narodom do dogmatycznego wierzenia. W tych warunkach rola inteligencji, jako grupy społecznej posiadającej zdolność wyjaśniania życia i jego praw oraz tworzenia norm zbiorowych, musiała ulec zasadniczej dyskryminacji.

II. Rehabilitacja

Obecnie nie ulega wątpliwości, że okres cezaryzmu rewolucji proletariackiej minął już bezpowrotnie.

Nie ulega również wątpliwości, że realizacja uchwał XX Zjazdu nakłada na inteligencję zupełnie specjalne zadania. Na inteligencję zarówno polską, jak i radziecką, rumuńską, węgierską. Na inteligencję wszystkich krajów obozu pokoju.

Kto przede wszystkim, jeśli nie ona, ma dokonać moralnego i ideologicznego rozrachunku z bolesną przeszłością minionych lat, rozrachunku, który służyć ma pełnemu, coraz doskonalszemu ucieleśnieniu idei socjalizmu? Kto przede wszystkim, jeśli nie ona, ma stworzyć atmosferę swobodnej krytyki oczyszczającej organizm narodu z ropnych nalotów beriowszczyzny? Kto ma podjąć się wielkiego trudu reedukacji społeczeństwa?

Jasne, że właśnie to jest najbardziej zaszczytne powołanie partyjnej i bezpartyjnej inteligencji w obecnym okresie. A w każdym razie tej przeważającej części inteligencji, która bez względu na światopogląd, przynależność polityczną, wiek i pochodzenie społeczne zawiązała swoje losy z socjalizmem, z pokojem, z braterskim współżyciem narodów. Zastrzegłem się, że będę pisał truizmy. A więc: inteligencja stanowi jądro kadry kierowniczej w naszym przemyśle, rolnictwie, życiu kulturalnym, umysłowym itp. Od jej poziomu ideologicznego i zawodowego zależeć będzie świadomość polityczna i kulturalna mas polskich. Od jej dojrzałości i patriotyzmu, od stopnia zaangażowania uczuciowego zależeć będzie szybkość i gruntowność przemian w naszym kraju. Potrzebna jest Polsce taka inteligencja, która zdolna jest pojąć, przyswoić sobie i urzeczywistnić interesy klasy robotniczej jako prodującej klasy nowego społeczeństwa. Inteligencja winna kierować budownictwem socjalizmu jako rzeczywista awangarda klasy robotniczej, nie zaś jako odrębna klasa czy grupa antagonistyczna, jak to było w okresie przedwojennym. Uświadomienie sobie tych oczywistych prawd staje się nakazem chwili zarówno dla rządu i partii, jak i dla inteligencji jako określonej siły społecznej. W świetle tych zadań rola i cele ruchu klubowego stają się chyba zupełnie bezsporne.

III. Ruch klubowy a Front Narodowy

Dla całości ruchu klubowego, dla dalszego rozwoju form pracy klubowych, przyjęcie ideologicznej i organizacyjnej płaszczyzny Frontu Narodowego ma zasadni-

cze znaczenie. Jest to płaszczyzna szczerzej dyskusyjnej i ściślej współpracy partyjnych i bezpartyjnych, marksistów, nowoczesnie myślących katolików i postępowych liberalistów — jest to płaszczyzna wszystkich ludzi dobrej woli.

„Przyjęcie przez kluby platformy politycznej Frontu Narodowego“ — czytamy w artykule redakcyjnym nr 4—5 „Nowego Nurtu“, biuletynu klubów inteligencji — „i niemal jednoczesna uchwała Sekretariatu Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego o pomocy dla klubów inteligencji w całej Polsce są dowodem słuszności przyjęcia tej koncepcji. Wprowadzenie jej w życie zostało zapewnione przez ścisłą współpracę Krajowego Ośrodka Współpracy Klubów Inteligencji z Ogólnopolskim Komitetem Frontu Narodowego i przez coraz bardziej rozwijającą się w terenie współpracę poszczególnych klubów z terenowymi komitetami Frontu Narodowego“.

Powstanie w kwietniu br. z inicjatywy warszawskiego Klubu Krzywego Koła, Krajowego Ośrodka Współpracy, wspomniana wyżej uchwała Komitetu Frontu Narodowego oraz zapowiedziany ostatnio akces do Ośrodka Klubów Młodej Inteligencji — klubów organizowanych przez grupę redakcyjną „Po prostu“, świadczą wymownie o nowym etapie rozwoju ruchu klubowego. Warto zapewne podkreślić, że Krajowy Ośrodek Współpracy jest zrzeszeniem dobrowolnym grupującym kluby, środowiska twórcze i koła dyskusyjne na zasadzie całkowitej równorzędności. Zadaniem ośrodka jest — jak czytamy w tekście umowy o współpracy z dnia 15 kwietnia („Nowy Nurt“ Nr 4—5):

1. udzielanie pomocy organizacyjnej i wszelkiego poparcia grupom i klubom nowopowstającym,
2. reprezentowanie interesów ruchu wobec władz instytucji,
3. dalsze prowadzenie i rozszerzanie współpracy międzyklubowej, wymiany doświadczeń, materiałów i informacji o życiu i formach pracy klubów i grup inteligencji.

Kluby i grupy podpisujące umowę stają się członkami Krajowego Ośrodka współpracy, delegując swoich przedstawicieli do prac ośrodka na podstawie wzajemnego porozumienia. Ośrodek współpracować będzie z Ogólnopolskim Komitetem Frontu Narodowego“.

IV. Dyskusja i realizacja

Pomimo swoich osiągnięć ruch klubowy jest zaledwie w fazie ząbkowania. Wprawdzie ilość klubów i ich osiągnięcia społeczne wskazują na podniesienie temperatury intelektualnej w poszczególnych miastach i miasteczkach pulsujących życiem klubowym, lecz, jak wiadomo, nawet sto jaskółek nie czyni jeszcze wiosny. Pożyteczna inicjatywa poszczególnych grup i kół nie tylko nie objęła jeszcze ogółu inteligencji, lecz nawet wielu aktywnym działaczom nie uświadomiła rzeczywistych perspektyw i celów ruchu klubowego w skali krajowej. Sprawami tymi zajmuje się wspomniany już uprzednio artykuł „Nowego Nurtu“:

„Dotychczasowe doświadczenia mówią, że dwie podstawowe formy pracy klubów, formy nierozłączne

i wzajemnie uzupełniające się — to dyskusja i realizacja(...) Dyskusje prowadzą do wniosków, pobudzają nie tylko do myślenia, ale i działania. A więc kluby przez swą pracę aktywizują inteligencję do twórczego i świadomego udziału w budowie socjalizmu w Polsce, rozwijają jej zainteresowanie życiem społecznym, życiem całego narodu — rozwijają więc nie tylko patriotyzm jako osobiste angażowanie się uczuciowo jednemu z zagadnień ogólnonarodowe, ale także jako zarówno osobisty jak i zorganizowany połączony udział inteligencji we wszystkich sprawach Polski Ludowej. Konkretnie: we Frontie Narodowym(...)

Spotykamy się jeszcze i dziś z nieodpowiedzialnymi próbami wyszukiwania rzekomych różnic politycznych między klasą robotniczą i chłopstwem a inteligencją, która przecież w przeważającej większości z robotników i chłopów wyrosła, która z klasą robotniczą związana jest nie tylko wspólnym programem politycznym, ale także często wężami i pochodzenia. Kluby przez codzienną praktykę swęj pracy udowodnić mogą i udowadniają bezsens tego rodzaju fałszywych podziałów.

Nie dzieląc, lecz skupiając najszersze masy inteligencji, mogą kluby postawić sobie zadanie umacniania jeszcze jednej więzi społecznej: więzi między młodzieżą i ogółem społeczeństwa poprzez aktywny udział inteligencji w kształtowaniu oblicza ideowego i moralnego młodego pokolenia.

Jeśli zapoznamy się bliżej z tematyką dyskusji klubów inteligencji z całego kraju, to uderzyć nas musi powtarzanie się pewnych określonych tematów, pewnych zagadnień, które powracając nieustannie dowodzą żywego nimi zainteresowania. Jedną z tych podstawowych grup tematów są zagadnienia międzynarodowe, przy czym sprawą węzłową jest sprawa pokoju. Szerzenie idei pokojowego współistnienia i współpracy, idei przyjaźni i braterstwa wszystkich narodów świata, obrona wartości kulturalnych ludzkości jako jedna z podstawowych form walki o pokój, rozwijanie współpracy kulturalnej z innymi krajami, upowszechnienie postępowej kultury i nauki wszystkich krajów — są więc również zagadnieniami, które kluby włączają do swego programu pracy. Łączą się z tym bezpośrednio upowszechnienie i rozwijanie postępowych tradycji narodu polskiego, polskiej kultury i nauki i naszego wkładu w kulturę ogólnoludzką.

Czy wszystkie te hasła, siłą rzeczy tu sprowadzone do formy najbardziej syntetycznej, a więc i ogólnikowej — są tylko ogólnikami? Bynajmniej. One wytyczają pewne kierunki, pewne cele ogólne.

Powstaje pytanie — jakie są drogi dojścia do celów?

Pytanie to jest równocześnie pytaniem o formy działania, o formy realizacji. I tu trzeba podkreślić jak najmocniej dwie rzeczy. Po pierwsze: kluby są ośrodkami pracy, są nie tylko ogniskami myśli, ale i ogniskami działania. Chociażby w takim zakresie, jak upowszechnienie kultury, kluby nie tylko pracować mogą i pracują koncepcyjnie, ale także stawiają sobie konkretne zadania i realizują je.

Po drugie: form działania ani centralnie wymyślać, ani centralnie narzucać nie można i nie wolno. Formy działania wyrastają z potrzeb i możliwości każdego klubu i środowiska, w którym klub działa. Zamrażanie tych form w statutach lub co gorsza — w jednym statucie dla wszystkich klubów — byłoby dziś ogromnym błędem. Zresztą nie zachodzi najmniejsza potrzeba rejestrowania przez poszczególne kluby statutów z chwilą, gdy współpraca klubów z Frontem Narodowym stwarza dostateczną legalną bazę ich działania.

Bogactwo form, w których kluby realizują i realizować mogą swe cele, jest ogromne. Z licznych doświadczeń już dziś można wymienić te z nich, które mają szanse zastosowania bardzo szerokiego, może nawet powszechnego.

Praktyka wykazała, że naturalnym miejscem pracy i zbierania się klubów są wojewódzkie, powiatowe

i dzielnicowe domy kultury. Domy kultury służą klubom nie tylko jako miejsce zebrania, lecz także jako miejsce szeregu imprez otwartych jak wieczory tematyczne, dyskusje publiczne, koncerty, lokale na wystawy plastyczne, miejsce pracy zespołów teatralnych i wszelkiej innej działalności kulturalnej masowej w miarę możliwości i zainteresowań poszczególnych klubów. Krajowy Ośrodek Współpracy ułatwi może poszczególnym klubom porozumienie z domami kultury.

Szereg klubów, szczególnie z miast powiatowych, doszło równoległe do ciekawej formy wycieczek wiejskich. Wycieczka taka, urządzona bynajmniej nie pod hasłem „ekipy łączności“, łączy się jednak z udziałem ludności wiejskiej bezpłatnych porad prawnych i lekarskich przez członków klubu, nieraz z koncertem z płyt lub taśm przywiezionych przez uczestników wycieczki do świetlicy wiejskiej, czasem z zabawą taneczną na zakończenie. Niekiedy wycieczka ma w programie poszukiwanie zachowanych na wsi dzieł sztuki ludowej i może się zmienić w prawdziwą wyprawę naukowo-odkrywczą.

W wielu miastach powiatowych działalność radiowęzłów pozostawia ogromnie dużo do życzenia. Stąd w programach działania poszczególnych klubów znajdowało się opracowywanie własnymi siłami audycji dla radiowęzłów i przez to podnoszenie poziomu ich pracy.

Kluby w miastach powiatowych mogą z powodzeniem brać w swe ręce redagowanie powiatowych czasopism, których wydawcami są terenowe Komitety Frontu Narodowego. W praktyce już gdziegdzie kluby stają się de facto redakcjami tych pism, istnieją zaś wszelkie możliwości rozszerzenia się tej praktyki na cały teren kraju.

Ogrom pracy, ogrom form i możliwości. A przecież to tylko pierwsze z brzegu przykłady, dość już szeroko znane działaczom klubowym z wymiany doświadczeń. To, co podnosi poziom kulturalny społeczeństwa, co mobilizuje aktywność społeczną, co rozwija myśl i świadomość polityczną — to wszystko może być przedmiotem pracy realizacyjnej klubów inteligencji. Największe zaś zadanie do spełnienia mają te kluby, które pracują na najtrudniejszym terenie: w małych ośrodkach miejskich(...)

V. Wnioski dla Lubelszczyzny

Lublin jest chyba najbardziej inteligentnym miastem w Polsce, w stosunku do liczby mieszkańców. Posiada aż cztery uczelnie, trzy redakcje czasopism, dwa teatry, filharmonię, kilka wydawnictw naukowych, środowiska artystyczne.

W Lublinie istnieją aż trzy kluby: Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych, Klub Młodej Inteligencji oraz Klub Filmowo-Dyskusyjny. Każdy z nich ma odmienne założenia i odrębny charakter — pomimo to uzupełniają się wzajemnie i ściśle współpracują ze sobą.

Ale Lublin to jeszcze nie Lubelszczyzna. A Lubelszczyzna to twardy i niewdzięczny ugór kulturalny. Pustkowie myśli, na którym umiera dzień w dzień inteligent śmiercią cywilną...

Lubelszczyzna — to jedyny okręg w Polsce, stanowiący białą plamę na mapie ruchu klubowego. Nic dziwnego, że w Zamościu, Chełmie, Puławach — miastach o klubnych i wiekowych tradycjach, straszą w biały dzień widma przeszłości. Tej dawnej, spod znaku Dułskich, i tej zupełnie niedawnej — spod zgoła odmiennych znaków...

Jerzy Mikke

Jan Lechoń

SPOTKANIE

Dzisiaj nocą samotną, spędzoną bezsennie,
Po promieniach księżycy, jakimś dziwnym tchnieniem...
Sam nie wiem, jak się nagle ocknąłem w Rawennie
I z dawno utęsknionym spotkałem zwidzeniem.

Przez otwarte ktoś okno grał cicho na flecie,
I wiatr lekki woń przyniósł duszącą, upojną —
Jak w mistycznym w nią szedłem wplątany bukiecie
Pod nieba wyiskrzoną kopułą dostojną.

„Będziecie wysłuchani, tęskniący, więc proście!“
Jak przez Boga zaklęty przymknąłem powieki
I tylko jakiś dziwny postyszał szum rzeki,
A później, później Danta ujrzałem na moście.

„Tyżeś to, Ty, mój mistrzu! Dlaczego tak blade,
I czemu taki dziwny niepokój Cię żarzy?
Przychodzę Cię ubłagać o sekret Twej twarzy.
Nic nie wiem. Zabłądziłem. I proszę Twej rady.“

On to rzekł, czy rzekł księżyc, czy woda to rzeka,
Padłem, głowę ukrywszy rękami obiema:
„Nie ma nieba ni ziemi, otchłani ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma.“
(„Srebrne i czarne“)



Zdzisław Jastrzębski

O DEMOKRATYCZNY CHARAKTER KULTURY

(artykuł dyskusyjny)

Zgodnie z zasadą marksistowskiej ekonomii, która mówi, że byt określa świadomość, Partia i Rząd wysunęły hasło przebudowy Polski z kraju rolniczego w przemysłowo-rolniczy. Cały wysiłek położony został na odbudowę i rozbudowę gospodarczą, na wykonanie zadań, jakie stanęły przed społeczeństwem. Chodziło o przekształcenie struktury ekonomicznej i co za tym idzie, o zmianę stosunków społecznych. Od tego uzależniono moralność i świadomość ludzką, a w konsekwencji kulturę. Ustalono pierwszeństwo bazy, nie sprecyzowano jednak, czy chodzi o genetyczne, czy czasowe pierwszeństwo, (a wbrew pozorom istnieją między nimi różnice). Lękano się rozważyć

stosunek tej zależności, przyjmowano tezę, na wyczuć niemal dokombinowując całą teorię kultury. W praktyce niejeden wulgarysta uważał tę zależność za bezpośrednią, nawet pojmował ją mechanicznie. Ekonomiści nie byli zbyt kompetentni w estetyce i odwrotnie — teoretycy sztuki nie mieli dość silnych podstaw ekonomicznych. W gruncie rzeczy miano o tym wszystkim mniej lub więcej mgliste wyobrażenia.

Z tą nieuniknioną mechanicznością związana była etapowość. Najpierw zbudujemy hutę, potem zabierzemy się do moralności, do kultury... I oto ufając sile przyczynowości i wszech zależności zjawisk,

traktowano każde zjawisko osobno, w izolacji. Zjawiska jakoś same się powiązały.

Nie wszystko mogło wytrzymać wskutek tego próbę życiową powstawały niekonsekwencje i sprzeczności (sprzeczność jest czymś różnym od przeciwieństwa; wtrącam ten scholarski nawias, gdyż nie zawsze uświadamiano sobie jasno różnice i jedno drugim latano).

Jedną z takich sprzeczności było zaangażowanie sztuki do pomocy w realizacji zadań partii, sztuki, która miała być przeciw dopiero wynikiem spełnienia tych zadań. Powstało błędne koło, zamknięte. Nikt nie zwrócił na to uwagi, nie pomyślał, ażeby sprawę tę rozważyć i wyjaśnić. A pytań nasuwało się wiele. Rewolucyjna sztuka istniała już przed wojną, była wtedy opozycją, jej motorem była klasowa świadomość i klasowa walka. Była to sztuka walcząca o przebudowę ustroju społecznego. Stosunki społeczne były kapitalistyczne. Po 1944 r. zmieniają się przyczyny i konfiguracje. Inne jest położenie, zmieniają się pobudki i funkcje społeczne sztuki. Walka klasowa i opozycyjność nie odgrywa już tej roli. Oczywiście walka klasowa, jak pisało, trwała i trwa nadal, ale zmieniła się sytuacja polityczna i proporcja.

Dawni żarliwi bojownicy albo zginęli, albo odeszli, albo tworzyli mniej. Pojawili się nowi twórcy, rozwijali się lub przestawali starzy. Nastąpiły przeobrażenia w strukturze ustrojowej — szybko stosunkowo, w bazie ekonomicznej dużo wolniej. Co i w jakim stosunku warunkuje charakter sztuki, jakie przyczyny, pobudki przed wojną, zaraz po wojnie, w tej chwili? A potem, gdy dojrzeją komunistyczne stosunki produkcji? Jaki zachodzi stosunek świadomości klasowej do bazy ekonomicznej w okresie kapitalizmu i socjalizmu (w odniesieniu do sztuki)? Jak rozumie się jej funkcje przedtem, teraz i potem? Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje i wymaga jeszcze wielu głębokich przemyśleń i studiów naukowych.

A stosunek bazy do nadbudowy? Był określał świadomość człowieka, równocześnie zaś człowiek rzeczywistość przeobraża. Jakie są tu powiązania między przyczyną a skutkiem? Bo przecież człowiek, którego świadomość jest zdeterminowana warunkami ekonomicznymi, jest tym, kto według swojej idei i woli stwarza nowe warunki. Nie czując się kompetentny, by zagadnienia te rozwijać szerzej, zresztą wymagałyby one rozprawy grubo obszerniejszej, ujętej zarówno przez ekonomistę, jak kulturologa i estetyka (najlepiej w jednej osobie), chciałbym je tylko zasygnalizować i zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, jakie rodzi się z wulgarnego traktowania wzajemnego stosunku bazy i nadbudowy, z mylenia determinizmu z fatalizmem. Wulgaryzm ten wpływa zresztą w dużej mierze z braku bardziej wyczerpujących studiów na ten temat.

Człowiek przeobraża i tworzy rzeczywistość na dwu płaszczyznach: technicznej oraz ideowej, kulturowej. Potocznie określa się je jako cywilizację i kulturę. Rozdzielenie obu pojęć nastąpiło w okresie ekspansywnej wiosny kapitalizmu, kiedy liczył się tylko postęp techniczny i zysk — za wszelką cenę. Szybki postęp

techniki w oderwaniu od norm moralnych przeważnie nie służył człowiekowi i rozwijaniu ludzkiej osobowości, lecz kierował się przeciw niemu. Cywilizacja wzięła rozbrat z kulturą, która nie może nie nosić na sobie piętna moralnego. Mechaniczne i partykularystyczne rozumienie zależności nadbudowy od bazy także grozi rozdzwieniem między kulturą i cywilizacją, grozi też bagatelizowaniem spraw i znaczenia kultury. Tak bowiem wygląda mniej więcej rozumowanie wulgarne ekonomisty: ponieważ baza warunkuje obraz rzeczywistości, więc należy ją budować, a wszystko inne wyniknie stąd potem, automatycznie niejako.

Oto z jednej strony oczekiwano od sztuki, że będzie potężnym narzędziem w walce o socjalizm, z drugiej strony traktowano ją po macoszemu, troskę o jej rozwój spychano na plan dalszy, na potem. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby nie pamiętać o wielkich inwestycjach kulturalnych, chodzi jednak o postawę i proporcje, a także o celowość pewnych poważnych dotacji na kulturę. Np. ogromne inwestycje reprezentacyjne — monumentalizm budownictwa, a z drugiej strony fakt braku pomieszczeń dla ogromnych ilości książek Biblioteki Narodowej — niszczących się, a także niedostępnych naukowcom.

Żaden z wielkich reżyserów nie zastanowił się też, że narzędzie im doskonalsze, tym skuteczniejsze, że artysta w dużej mierze „tworzy wyobraźnię narodową”, jak mówi Norwid. Przykładem poezja romantyzmu, która żywiła się ideą czynu, która prowadziła do walki powstańczej... To jest fakt, niezależnie od tego, jak my teraz ocenimy wartość tych zrywów. W okresie Rewolucji Październikowej Majakowski recytował swe utwory z platformy do tłumy, rzucał szorstkie słowa, które mobilizowały, które fermentowały w rewolucji a zarazem były drożdżami o mocy dynamitowej. Meyerhold szukał takiego wyrazu w teatrze i choć prymitywne wydaje się umieszczanie na widowni petard, które wybuchały w czasie spektaklu widzowi pod krzesłem, by był nie tylko widzem, lecz i uczestnikiem, to jednak ważna i obowiązująca jest ta idea sztuki żywej, sztuki nowej, wypowiadającej się nowymi środkami, sztuki, która umiała jednak zachować swoją odrębność jako sztuki.

A przecież żaden administrator nie kazał się jej ustawiać frontem do... (tu wstaw odpowiednie hasło i konkretny cel). Dopiero różne ingerencje i administracyjna opieka nad sztuką doprowadziła do jej zahamowań i skrzywienia w latach trzydziestych, jak już zauważono. Do niedawnej jeszcze przeszłości karykaturowano w niemilosierny sposób funkcje wynikające ze społecznego adresu sztuki. Mówiono nie tyle o uwarunkowaniu jej wobec ekonomicznej sytuacji, ile chciano podporządkować ją i nagiąć do doraźnych celów gospodarczych. Gdy zadanie zostało wypełnione, jaka pozostała wówczas wartość dzieła sztuki, które powstało na zamówienie, jako pomoc w realizacji zadania? Jeśli cel został osiągnięty, to narzędzie służące do jego osiągnięcia przestaje być potrzebne i użyteczne. To chyba jasne. Ale polityka taka byłaby bardzo rozrzućna i egoistycznie ciasna. Pod jej presją teoretycy nie umieli dać sobie rady z kwestią trwałych wartości w sztuce, o których bez-

spornie świadczyły rozchwytywane wydania klasyków, zwiedzane muzea i galerie... Czy popularność ta pochodziła stąd, że dzieła owe dawały obraz swego czasu, obraz realistyczny? To nie był wystarczający motyw, by ludzi zainteresować. Prawdę o danej epoce mogą dostarczyć również inne źródła.

Tymczasem np. tzw. literatura produkcyjna niewiele pomogła budowie socjalizmu, a nawet wręcz przeciwnie — zniechęcała i dewaluowała jego idee, program i konkretne zadania. A właściwie popularyzowała, lecz jako pocisk wracający rykoszetem humorystycznym. Bo deklaracjonizm, oportunistyczny, tani optymizm fałszujący prawdę trudnego wzrostu, schematyzm...

Dużo tych „izmów“ wyliczano, nie zawsze widząc, że izmy te są skutkami, nie przyczynami. Przyczyny próbowaliśmy ukazać częściowo powyżej. Najogólniej można powiedzieć, że ich podstawą był stalinowski system totalitarny. Twórca żył w atmosferze presji i strachu, narzucano mu gotową i spreparowaną wizję, sztuka nie była ani sobą, ani propagandą. Wszystkie izmy, czyli cechy szablonowego myślenia i ideologii oraz prymitywne środki wyrazu spowodowały to, że „produkcyjną“ literaturę jeśli ktoś czytał, to tylko z jakiejś konieczności.

Fałszywie pojęta walka z formalizmem skierowała się przeciw ideologii, przeciw „treści“. Nie widziano utworu, lecz mówiono o elementach ideowo-artystycznych. Dwie te płaszczyzny traktowano zupełnie od siebie niezależnie. Np. pewien bardzo ruchliwy krytyk dostrzega, że o ile u jednych „mamy do czynienia z powolnym procesem upolityczniania się ich utworów, przewyżczenia widocznych wpływów obcej ideowej estetyki w formie ich wierszy, o tyle u Woroszyńskiego świadomość ideowo-polityczna zdecydowanie wyprzedza rozwój artystyczny“.

Jaka jest ta obca ideowo estetyka? Czymże jest forma? Jeśli architekt ma projektować budowę gmachu, musi w równym stopniu uwzględnić, jaki materiał ma być użyty, jak ma być gmach zbudowany (jakimi środkami oraz jaką ma mieć konstrukcję i kształt) i czemu ma służyć.

Ograniczmy się do literatury. Czy wszystko było w niej kibicostwem i faktografią? Nie. Pomijając tych, którzy zamilkli publicznie, wielu było poza nimi pisarzy, którzy pozostali wierni swej etyce pisarskiej a zarazem wierni rewolucji. Czyli odgórny nacisk nie jest przyczyną wystarczającą, on tylko sprzyjał wylęganiu się oportunistów i cyników. Nie wystarczy też wyjaśnienie, że zawsze znajdują się karierowicze. Właśnie w takiej atmosferze, jaka była, oni najwięcej mieli do powiedzenia.

Trzeba pamiętać, że dwudziestolecie cechowała w zasadzie bezideowość, ugruntował się przy tym wówczas profesjonalizm. Twórczość stała się zawodem, sposobem zarabkowania, tym łatwiejszym, im bardziej schlebiała gustom i „państwowości polskiej“. Ani wojna, ani wyzwolenie nie dokonały tu żadnego wstrząsu i przewrótów moralnego. Położenie wielu literatów, zwłaszcza warszawskich, nie uległo zmianie. Dawną perwersję, ekshibicjonizm, psychologizm i erotyzm zastąpiły nowe etykiety. Kształt

i „kierunek“ dzieła wyznaczała w dużym stopniu dramatyczna analiza: jaki kurs?

Być w czołówce, trzymać rękę na pulsie, czyli być po uszy zanurzonym w rzeczywistości. Ale trzeba ją było jakoś naginać, intepretować „dialektycznie“.

Postawę taką należało uzasadniać i usparwiedliwiać. Jedni mówili więc o historycznej konieczności godząc się nawet na fatalizm, inni o borykaniu się i rozterkach... Przypomina mi się anegdota, bardzo charakterystyczna. Ktoś zarzucał pewnemu autorowi, że ludzi takich, jakich pokazał, właściwie nie ma. Autor wyjaśnił wtedy, że dziś się o tym głośno nie mówi, a za ileś tam lat nikt nie będzie wiedział, jak było naprawdę. Motywy tego rodzaju (nie chodzi mi w tej chwili o konkretny przypadek, lecz o ogólną postawę) też kierowały piórem niektórych pisarzy.

Inni znów („nie wie lewica, co robi prawica“) uprawiali pisaninę dwutorową: jedną z własnym „pionem“, drugą „pańszczyźnianą“. Płynęli z prądem i szli na „ustępstwa“ po to, by ratować w ten sposób co się da z klasycznej kultury. Iście szlachetne pobudki, lecz ja mam ordynarne przeświadczenie, że ludzie tego pokroju popelniali potrójną zdradę: zdradę rewolucji, zdradę sztuki, która nie może być wartościowa i prawdziwa w takim „rozdwojeniu“, oraz zdradę wobec siebie, poniżając własną ludzką godność. Co więc ratowali? Własny brzuch. Konjunkturysta przedrzeźniał ideowego działacza i twórcę.

Wiadomo z obserwacji, że z prądem, bez najmniejszego wysiłku płyną tylko zdechłe ryby. Prawdziwy żeglarz puszcza się na wartki nurt, lecz z wiosłem w silnej i pewnej dłoni, wkładając w żeglugę cały swój wysiłek i zapał. Bardziej godny szacunku jest ten, kto nie będąc jeszcze przekonany ideologicznie, wołał narazić się na zarzut eskapisty i pisać do szuflady, niż brać udział w licytacyjnym jazgocie. I nie on szkodził sztuce i rewolucji.

A dziś z przykrością czyta się, jak ci, którzy holdowali zasadzie przystosowania, potepiają w czambuł, jak biadają, że tragiczne i bolesne to dla nich sprawy, jak kają się. Niestety, więcej w tym krzyku i zbiorowego powtarzania niż rzetelnego myślenia. Cięży jeszcze dawny żargon, posługiwanie się utartymi formułkami.

Ważnym zadaniem jest obecnie przywrócić nadużywanym dotąd pojęciom ich właściwy sens, zacząć myśleć precyzyjniej, uzasadniając i rozróżniając. Weźmy np. zagadnienie partyjności a przynależności do partii. Nadużywanie i utożsamianie obu pojęć poczyniło w okresie administrowania kulturą dużo szkody. Bo ten miał rację, kto wydawał rozporządzenie, przemycając swój, czasem nieodpowiedzialny, pogląd pod płaszczykiem partyjności. Kto chciał mieć inne zdanie, posądzany był o reakcyjność lub odchylenie. Nie trzeba nadmieniac, że biurokratyzm taki podważał prestiż Partii.

Za mało było kolektywnej pracy i myślenia i decydowania w sprawach kultury.

Słusznie zauważono już, że ostatni okres był w dużej mierze regresyjny. Twórcy bowiem nowej kultury i sztuki coraz bardziej odrywali się od proletariatu, od „ludzi prostych“. Mimo przelomu,

kulturę reprezentowała i tworzyła przede wszystkim inteligencja.

Mysłakowski zwraca uwagę we wstępie do książki F. Grossa „Proletariat i kultura” na istniejące przeświadczenie, że „jakiż może być w istocie realny stosunek proletariatu do kultury, skoro „kultura” zaczyna się tam, gdzie proletariat się kończy?” Przeświadczenie to zakorzeniło się głęboko i tkwi do dziś. Tak ono, jak i polityka kulturalna ostatnich lat walczy przyczyniły się do tego, że dotąd nie posiadamy prawdziwej, rewolucyjnej i proletariackiej, nowoczesnej kultury, od poezji i architektury począwszy, na kulturze życia codziennego, meblach, ubiorze skończywszy. Zmiany nie polegają na tworzeniu nowego stylu, lecz na modyfikowaniu i naśladownictwie kultury inteligencko-mieszczańskiej.

Dużo mówi się o robotnikach, koryfeuszach kultury wykuwają w wyszczelnionych apartamentach postępową sztukę dla mas, ale do mas tych rzadko dociera to, co o nich mówią i dla nich robią. Ojcowie i państwowi mecenasowie socjalistycznej sztuki mówią o „związku z masami”, o „wysłuchiwanie się w głos mas”. Podobne slogany stanowią sztyd, który zwalnia od dłuższego zastanawiania się nad sensem tych zwrotów i jest tarczą chroniącą przed ewentualnym zarzutem niepostępowości lub zbyt nikłego zaangażowania. „Cóż chcecie, czyż nie mówi się, że wszystko dla mas, że sztuka masowa...?”

A „masy” przelewają się po papierze bezimiennie, bez kształtu i bez oblicza. Oto rewolucyjna elita rozprawia o masach dla mas. Ten niepozorny przyimek demaskuje postawę oportunistyczną. Tu nie widać poczucia łączności z proletariatem, to trąci atmosferką łaskawej dobroczynności. Ten przyimek jest wyrazem i dowodem faktu oderwania. Język jest czułym aparatem i zanotuje wiernie typ rozumowania, wyjawia to, z czego nie zawsze zdajemy sobie jasno sprawę.

Jaką wartość przedstawia w tej chwili inteligencja? Na pytanie to winien szerzej odpowiedzieć socjolog i teoretyk kultury, ja chciałbym tylko zwrócić uwagę, że w ogromnej większości brak jej żarliwości ideowej, cechuje ją jałowość i wygodne lenistwo, od masy biurowej począwszy, na środowiskach studenckich skończywszy, środowiskach, nie mających żadnych pasji i zainteresowań. Największym powodzeniem cieszy się też sztuka rozrywkowa. Lecz ogromna potrzeba śmiechu nie wyjaśnia tego powodzenia. Tu chodzi o łatwość, a nawet ośmielę się powiedzieć — o łatwiznę.

Zalęgło się burżujstwo i inteligencki snobizm, zagrabiający dla siebie całą konsumpcję dóbr kulturalnych, do konsumpcji ograniczający się. Robotnikowi pozostaje przede wszystkim kino, daje mu się też świetlice przyfabryczne, o których „popularności” trafnie już pisał w „Przeglądzie Kulturalnym” M. Czerwiński. Chłop i tego jest na ogół pozbawiony. Niestety, artykułów podobnych nie spotyka się prawie, „dołami” nikt się konkretnie nie zajmuje. Nawet Czerwiński ograniczył się do stwierdzenia tylko np. faktu, że istnieje „wyższy stopień „zaopatrzenia” środowisk nieproletariackich: niepowodzenie (względne lub całkowite) ośrodków przyfabrycznych:

niska frekwencja robotnicza w teatrach, wystawach i niska frekwencja w ośrodkach czytelnictwa”. Dlaczego?

Dlatego, że złe, sztuczne były koncepcje upowszechniania kultury. Że za mało zostawiano inicjatywy robotnikom. Że odcierano się od nich i nie podjęto rewolucyjnej twórczości przedwojennej, dlatego że atmosfera w teatrach, na koncertach itd. onieśmieliła i była obca szorstkiej prostocie i bezpośredniości proletariackiej, dlatego, że istniał centralizm i oligarchie, i wielostopniowość „wtajemniczenia” mafijnego.

Po redakcjach, w gronach koryfeuszów, prywatnie, czytano literaturę zachodnią, czytano „Zniewolony umysł” i paryską „Kulturę”, rozmawiano o różnych zakazanych rzeczach, smażono dla „mas” alchemiczne piguły artykułowe. Jeśli do lektur tych nawiązywano, to polemizując wprost, tak jakby dana książka lub zjawisko były powszechnie znane. A niezorientowany czytelnik w żaden sposób nie mógł zgadnąć, po co to i o co chodzi.

Do innych więc rozdwojeń dołączyło się jeszcze rozdzwojenie na życie prywatne i publiczne, publiczne zaś rozszczępiło się na nieoficjalne i oficjalne.

Pieczolowicie starano się nie dopuszczać żadnych wieści do proletariatu i do rzeszy inteligenckiej, w obawie, by im „nie zaszkodziło”. Ale proceder ten uprawiano nie tylko wobec spraw „zakazanych”. Zaskodziło to przede wszystkim demokratycznemu charakterowi kultury, bo reżyserstwo zawsze wyjdzie na jaw, bo przemilczanie pewnych, drażliwych spraw wywołuje większe nimi zainteresowanie, rodzi półśmieszki i nieufność, niszczy wspólne poczucie odpowiedzialności za stan tworzonej kultury, bo oznacza to istnienie grona wtajemniczonych i tych, którzy „mają możliwości”, mówiąc delikatnie, oraz „reszty” traktowanej z wyższością jako niedorozwinięte mleczaki.

Na szczęście, po XX Zjeździe wiele z tych zjawisk należy do przeszłości. Warto obecnie rzetelnie i w sposób dojrzały przedyskutować zagadnienia kultury, jej stanu, potrzeb, jej funkcji, sposobów uświadamiania środowisk robotniczych i pobudzenia ich inicjatywy, jak największego zabezpieczenia się przed możliwością błędnego administrowania nią...

W skrócie chciałbym jeszcze powiedzieć, co wydaje mi się, że należałoby m. in. zrobić dla demokratyzacji i unormalnienia życia kulturalnego. A więc wyżej wspomniany problem jawności. Dlaczego np. nie można by urządzić dyskusji w ośrodkach robotniczych o architekturze, o pojmowaniu sztuki, zapotrzebowaniach. Robotnicy interesują się tymi sprawami. Nawet poezją. Oczywiście, coś np. murarza (i nie tylko murarza) może zainteresować, jeśli mądry poeta mu powie:

urząłem murarza który kładł
zaprawę z cementu
na cegle.

a jeszcze mądrzejszy krytyk stwierdzi, że „obrazy są wzięte z codziennego życia naszego kraju”? Lecz „Poemat dla dorosłych”, jakkolwiek można by dyskutować nad słusznością osądu w nim zawartego, wy-

wołał burzę i to właśnie w Nowej Hucie. Nie należy zbyt teoretyzować. Dlaczego Czerwiński zastanawiał się i stawiał sobie pytania, kim jest ta wielka nieznaną, a nie próbował spytać tych, o których mówił? Dlaczego nie wszczęto dotąd wśród robotników dyskusji nad sprawami, które w tym artykule zostały poruszone?

To jeden z problemów demokratyzacji. Wiąże się z nią walka z elitaryzmem, centralizacją i monopolizmem. Wszystko skupia się w wielkich instytucjach,

te instytucje zaś mieszczą się w centrum Warszawy, wszystkie inne ośrodki są upośledzone. Czy stan taki może sprzyjać swobodnemu i normalnemu rozwojowi naszej kultury?

Kończę artykuł pytaniem. Być może, nie wszystko jest tu słuszne, lecz istotne racje najlepiej wypłyną w czasie dyskusyjnego i kolektywnego przemyślenia spraw naszej kultury.

Zdzisław Jastrzębski

NOTATKI CYNIKA

Jakież to odważne — tak otwarcie, publicznie przyznać się do cynizmu! Przez jakiś czas sam byłem uwiedziony tym pomysłem — dotąd, póki N. nie pochwalił go. N. kocha przekorę, ale przekorę łatwą, przekorę, jeśli tak można powiedzieć pierwszego stopnia, przekorę dla przekory. Nie podobał mi się jego entuzjazm. Zresztą — ta nieszczęsna odwaga, która podobno staniała! To nie mogło radować. Wyprzedaż tandety. Raczej tu potrzebna byłaby przekora.

Więc niezbędny jakiś unik — żeby to uratować. Jakiś unik bardzo tchórzliwy.

Wystarczyło tylko trochę erudycji. Zatem: cynizm owszem, ale cynizm klasyczny, cynizm na modłę starożytnych — cynizm jako kult cnoty. To nawet stwarza dodatkowy urok: nikt z nas przecież nie potrafi wyrzec się współczesności, powstanie niepokojące migotanie znaczeń: dawnego, które tchórzliwie przypominałem, i obecnego, do którego przywykliśmy. Stąd możliwość zamętu u czytelnika, zamętu, który pozwoli autorowi na przemycenie wielu głupstw.

A o przekorze Irzykowski pisał, że „jest prawdą, która musi udawać kłamstwo w społeczeństwie ślepców“.

*

O bohaterstwie: Polska jest krajem bohaterów. Byłbym najzwyczajniejszym cynikiem, gdybym usiłował uśmiechnąć się przy tym stwierdzeniu. Nasza historia... Po co zresztą uciekać w daleką przeszłość, kiedy wystarczy tylko nieco obejrzeć się za siebie. Bohaterskie milczenie i bohaterski oportunizm. Sami bohaterowie. Stanowczo jesteśmy narodem bohaterów. S., oczywiście, powiedział, że był to okres raczej smutny niż tragiczny. Ktoś bronił: „Istnieje jednak tragizm ofiary“. Ja wtrąciłem swoje: „Teraz jednak walczymy“. S. był jednak nieubłagany — „Gadacie“, odparł. „Ale mówimy pięknie, mówimy bohatersko“. Wtedy S. zacytował Brzozowskiego: „Ile razy trafisz Polskę posiadającą w rentę, ona odrzeknie jak widmo spod Maciejowic“. Od-

niósł to do „obu walczących stron“. Nie mogłem się z tym zgodzić, mnie także kiedyś uderzono. Głośno zaprotestowałem. Było to bardzo klasyczne, bohaterowie Homera wydzierają się przeciw wniebogłosy.

A morał taki: bronię cnoty bohaterstwa. Tylko głupia przekora czytelnika może to odczytać jako obronę cnoty skromności.

*

Humanizm: R., poeta, zwiedził kiedyś ze mną pewną hutę. Wieczorem poszliśmy na kolację i piliśmy wódkę z inżynierem P. Opowiedział nam taką historię: robotnik wpadł do kadzi z wrzącym żelazem. W trumnie złożono sztabkę stali. R. powiedział wtedy: „To piękne. Człowiek, człowiek wcielony w telegraficzne druty, w szyny obiegające cały świat, człowiek wprężony w rytm potężnych maszyn“. Był bardzo zamyślony. Potem napisał artykuł, ostry artykuł w sprawie BHP.

*

Mikrosocjologia: W socjologii jesteśmy opętani duchem śmiałych syntez, skrótowych ujęć — to jakoś ocala nasze marzenia. Walka klas, socjalizm, byt określa świadomość. Mikroskop jest niebezpiecznym narzędziem — wszystko brzydnie. Ludzkość zostaje rozmięciona na drobne w stolówkach i tramwajach. Klasy rozkładają się na kliki i kliczki, nienawiść na ambicjki i podstawianie nóg. Jakże często życie tworzy szpetne maksymy, w rodzaju: „pensja określa świadomość...“

W mikrosocjologii dostrzega się łatwo analogie między społeczeństwem a zatłoczonym pociągiem. Chodziłem długo po peronie, w pociągu nigdzie nie było już miejsca. W końcu jednak jakoś się wcisnąłem, nie pamiętam, przymilny uśmiech czy pięść była argumentem. W każdym razie tam, gdzie wszedłem, więcej miejsc na pewno już nie było. Teraz ja przekonywałem o tym natarczywych. Piękna jest taka solidarność.

Namyślałem się długo nad morałem: doprawdy, nie wiem, czego właściwie mam tu bronić.

Nominalizm: Są ludzie, którzy dokonują pięknych czynów tylko dla ich pięknych nazw.

Są pewne brzydkie sprawy, które likwiduje się dzięki brzydkiemu nazwaniu. Myślę o „kulcie jednostki“.

*

Racjonalizm i absurd: Nasi wrogowie mówią często, że socjalizm to „bezduszna maszyna“, ludzie — śrubki, ludzie — kółka zębate. To budzi w nas jakąś przewrotną radość: często bowiem jest tylko naszym marzeniem to, o co się nas oskarża. Jakież by to było piękne: racjonalizm — świat poddany prawom myśli...

Dlaczego jednak tryb warunkowy? mówi S. Istnieją fakty świadczące, że materia rzeczywiście poddaje się potędze naszej myśli. Żeby nie być

głosownym, opowiedział mi taką historię: W X jest fabryka włosianki czy też jakiegoś sukna. Któregoś miesiąca plan wykonano tylko w 60%. To oczywiście mogło mieć smutne konsekwencje.

Od czegoż jednak racjonalizm, piękna sztuka myślenia? W dwa dni plan został wykonany w 120%. Stało się to tak: wskaźniki planu wyznaczały produkcję tylko w metrach bieżących. W ciągu dwu dni zatrudniono wszystkich robotników przy przecinaniu wzdłuż wielkich bel materiału.

Bronię zdrowego rozsądku.

JaD.

Leszek Siemion

O CZYM POSŁOWIE LUBELSCY ZAPOMNIELI POWIEDZIEĆ NA SEJMIE

Okres ostatnich miesięcy pod względem zdobywania doświadczenia politycznego przez społeczeństwo był efektywniejszy niż całe minione dziesięciolecie. Nie dziwnego, że w tyglu zaskakujących wydarzeń zrodziła się niejedna ocena nie odpowiadająca rzeczywistości, nie uwzględniająca którejś ze stron omawianych zjawisk. Nie ma potrzeby wyrzucać sobie tego rodzaju błędów — widzieliśmy, że nawet najdoświadczeni nie potrafili ich uniknąć. Są jednak problemy, w stosunku do których mijający czas stworzył przestronną płaszczyznę analizy, pozwolił na wyprowadzenie obowiązujących wniosków. Myślę, że do takich problemów należy styl pracy naszych przedstawicieli w najwyższym organie władzy ludowej — Sejmie Rzeczypospolitej.

Mówiąc o naszych — mam na myśli posłów wybranych przez wyborców w okręgach wyborczych województwa lubelskiego, a więc tych suwerenów, którym w udziale przypadło bezpośrednie reprezentowanie mieszkańców Lubelszczyzny w Sejmie RP.

Nie mam zamiaru podejmować tu rozważań o czasach minionych, których ocena, aczkolwiek niepełna, jest już dostatecznie jasna, o czasach, kiedy normalną postawę posła może sami traktowaliśmy jako „odchylenie“, jako „anty“. Ostatnie miesiące przyniosły nam tyle postępu, że zarówno Sejm jak poszczególni posłowie, mogli pracować mniej więcej normalnie, co w przekonujący sposób pokazała wiosenna sesja. Można przytoczyć wiele poselskich wystąpień wskazujących na wy-

sokie poczucie odpowiedzialności posłów za sprawę swego terenu. Niestety, trudno by do tych głosów zaliczyć wystąpienie któregoś z posłów, którym funkcje w parlamencie powierzyli wyborcy z województwa lubelskiego.

By się o tym przekonać, zróbmy krótki przegląd najbardziej nabrzmiałych problemów Lublina i Lubelszczyzny, problemów, co do których dawno już należałoby przedsięwziąć decydujące kroki. A więc:

1) Sprawa budownictwa mieszkaniowego. Interpelacje w tej sprawie złożyli posłowie z warszawskiego i gdańskiego, upominali się o nią posłowie wrocławscy, tylko głosów przedstawicieli społeczeństwa Lubelszczyzny na sesji sejmowej zabrakło. Zapowiadany w tej sprawie „dezysydat“ nie wzbudził żadnych ech. Czyżby nasza sytuacja mieszkaniowa była lepsza niż w Warszawie, Wrocławiu lub Gdańsku? Nic podobnego — Lublin w r. 1950 miał największe zagęszczenie mieszkańców w Polsce, a można wątpić, czy od tego czasu nastąpiła jakakolwiek poprawa. Zważywszy szybki przyrost ludności w drodze przyływu ze wsi i niewykonywanie planów przez budownictwo, można wyrazić przekonanie, że sytuacja nawet się pogorszyła. Czym więc usprawiedliwić bierność lubelskich posłów względem problemu mieszkaniowego?

2) Sprawa elektryfikacji wsi. Chyba dla każdego obywatela jest dziś oczywiste, że elektryfikacja jest głównym czynnikiem postępu polskiej wsi. Od tego słowa trzeba zaczynać każde zdanie o technice i kulturze wsi. Znamienne jest, że w okresie wyborów do rad narodowych Lubelsz-

czynna jak długa i szeroka rozbrzmiewała głosami chłopów żądających elektryfikacji. Można cytować długie listy wsi, których mieszkańcy zgłosili gotowość uczestniczenia w robociznie i finansach potrzebnych na przeprowadzenie linii elektryfikacji. Postulat elektryfikacji był węgielnym kamieniem programów wielu komitetów Frontu Narodowego. Jak zareagowały władze na to powszechne żądanie? Tylko w ten sposób, że tempo elektryfikacji w ciągu dwóch ostatnich lat zdecydowanie osłabło. Czy jednak sprawa elektryfikacji znalazła jakiegokolwiek odbicie w wystąpieniach lubelskich posłów? Niestety — poruszył to zagadnienie poseł województwa warszawskiego, nie jednak nie mówili nasi przedstawiciele.

3) Sprawa klasyfikacji ziemi. Dla nikogo z działaczy stykających się z lubelską wsią nie jest tajemnicą, że w ogromnej liczbie wypadków mamy klasyfikację ziemi przeprowadzoną w sposób niezgodny zarówno z rzeczywistością, jak i ze zdrowym rozsądkiem. Dotyczy to szczególnie powiatów południowych, gdzie w sposób antydialektyczny możliwość, potencjalna przydatność gruntów została wzięta za rzeczywistość, choć ich kultura stoi na poziomie średniowiecza. Tam więc problem klasyfikacji stoi szczególnie ostro, chociaż równie palący jest on dla wielu wsi i gromad innych rejonów Lubelszczyzny. Można bez przesady stwierdzić, że jest to problem par excellence polityczny, gdyż jego skutki udaremniają ułożenie właściwych stosunków pomiędzy miastem a wsią, pomiędzy chłopstwem a władzą ludową, jego skutki naruszają robotniczo-chłopski sojusz. Istnienie tego problemu powoduje ciągłe chwianie się równowagi ekonomicznego wzrostu wsi lubelskiej. Zrozumiała jest więc interpelacja złożona przez posłów w tej właśnie sprawie. Jednak i w tej okazji zabrakło głosów posłów lubelskich, którzy zachowali charakterystyczny dla nich stoicki spokój.

4) Sprawa budownictwa dróg i kolei. Jest publiczną tajemnicą, że województwo lubelskie stoi na przedostatnim miejscu (przed województwem białostockim) pod względem gęstości sieci komunikacyjnej. Brak dróg bitych powoduje olbrzymie straty w naszej gospodarce. Dość powiedzieć, że np. czas użyteczności samochodów z powodu złych dróg jest w naszym województwie trzykrotnie krótszy niż w województwach zachodnich. Olbrzymie trudności napotyka transport artykułów przemysłowych na wieś i ziemiopłodów do miasta. Cała południowa Lubelszczyzna dysponuje jedną linią kolejową i to o kierunku południkowym, kiedy palącą potrzebą jest linia równoleżnikowa. Przewidywana na okres planu sześcioletniego budowa linii Szczerzeszyn-Annopol, jak wiadomo, nie doszła do skutku, chociaż tyle razy zapowiadaliśmy jej budowę. A jednak żaden z lubelskich posłów nie zapytał Rządu o powody zaniechania tej inwestycji, żaden z nich nie podniósł żą-

dania wzmoczenia tempa budowy dróg, tak jakby poruszenie tej sprawy na V Plenum KC przez Romana Werfla załatwiało palący problem w jakiś konkretny sposób.

Cztery powyższe sprawy oczywiście nie wyczerpują wszystkich bolączek Lubelszczyzny, jednak nie potrzeba chyba nikogo przekonywać, że wszystkich spraw naraz załatwić nie sposób. Załatwiać trzeba sprawy najważniejsze, a takimi są cztery wyżej wymienione. Stanowią one problemy, których załatwienia odwlekać nie wolno. Załatwiać je może tylko najwyższy organ władzy ludowej — Sejm RP, dając Rządowi odpowiednie zalecenia. Co najmniej dziwne, że lubelscy posłowie nie wystąpili energicznie o uwzględnienie tych potrzeb Lubelszczyzny.

Jedyna złożona przez lubelski zespół poselski interpelacja dotyczyła... budowy radiostacji w Lublinie. Nie neguję potrzeby istnienia tego rodzaju placówki, jeśli jednak nasi posłowie sądzili, że budowa radiostacji jest najbardziej palącym problemem Lubelszczyzny, to można mieć grube wątpliwości co do ich powiązania z wyborcami, do ich znajomości potrzeb terenu.

Te wątpliwości rosną, kiedy od nowa przejrzyć listę suwerenów wybranych do Sejmu RP przez mieszkańców Lubelszczyzny. Nie będę wyliczał tu wszystkich 27 nazwisk posłów, na których oddaliśmy swoje głosy. Ograniczę się do stwierdzenia, że połowa z nich już w momencie głosowania nie była związana z Lubelszczyzną. Od tej pory sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdyż cały szereg posłów — Głębski, Kalinowski, Żebruń — odeszło z Lublina na inny teren. Tak więc reprezentacja Lubelszczyzny w Sejmie w większości nie jest związana ze swymi wyborcami.

A jak przedstawia się pozostała grupa posłów lubelskich? W trosce o „klasowy charakter“ najwyższego organu władzy wprowadziliśmy na listy posłów wielu kandydatów — wprawdzie rzeczywistych robotników i chłopów, ale — nie reprezentujących większych zdolności do społecznej pracy. W rezultacie mamy i takich posłów, których śladów działalności na próżno szukalibyśmy w sejmowych diariuszach.

Tak więc milczenie posłów województwa lubelskiego na temat najważniejszych spraw naszego terenu nie jest kwestią przypadku czy zbiegiem okoliczności. Zdecydował o tym skład naszego zespołu poselskiego, którego reprezentatywna część była całkowicie oderwana od Lubelszczyzny, zaś część figuranka nie była zdolna do samodzielnej pracy poselskiej.

Powiedzieć sobie o tych sprawach jest dla nas szczególnie ważne dziś, kiedy kadencja Sejmu dobiega końca. Dla nas, wyborców, będzie to cenna wskazówka, jak mamy wybierać swoich przedstawicieli do najwyższego organu władzy. Oczywiście przeprowadzenie wyborów w sposób prawidłowy

wymaga pewnych obiektywnych warunków — prawidłowej ordynacji wyborczej. Ordynacja dotychczasowa właściwie nie sprzyjała rozwojowi racjonalizmu i aktywności w społeczeństwie. Na szczęście coraz liczniejsze głosy żądające zmiany przepisów ordynacji pozwalają mieć nadzieję, że i te obiektywne warunki przeprowadzenia wyborów w spo-

sób prawidłowy zostaną załatwione. Jest to konieczność ze wszystkich konieczności najbardziej dla nas istotą. Bo tylko prawidłowy skład posłów może nam dać gwarancję, że najważniejsze problemy społeczne określonego terenu nie będą przemilczane.

Leszek Siemion

Adolf Lekki

O ZESZŁOROCZNYCH STERTACH I INNYCH AKTUALNYCH SPRAWACH

Dla wszelkiej pewności nie podam wam nazwiska tego przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej. Muszą wam wystarczyć jego zwierzenia:

„...Wojewódzki pełnomocnik do spraw jesiennej akcji siewnej spotkał mnie przy ściernisku. — Przewodniczący! — krzyknął na mnie ostro. — Cóż to za lekceważenie podstawowych przepisów agrotechnicznych? Czy nie wściecie, że natychmiast po sprzęcie zboża należy dokonać podorywki?

Wiedziałem o tym — każdy rolnik o tym wie — ale jakoś niako było mi przyznać się do tego, że nie zdążyliśmy wykonać tej pracy. Wściecie, jak to jest... Zaraz sprawozdanie do województwa, artykuł w gazecie, stwierdzenie, że u nas źle się dzieje... Wolałem jakoś zataić tę sprawę.

— Albo nie widzicie, że tutaj kończyła się zasiana — mówię śmiało i pokazuję mu kępki tej rośliny rosnącej dziko na ściernisku. Pełnomocnik tylko się zarumienił. Przeprószył mnie i zaraz odjechał. Do dzisiejszego dnia mamy z niego uciechę. Wiadomo, człowiek z miasta kończyłby dziękę od uprawnnej nie odróżni.“

Byłoby to zwierzenie przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej zgola humorystyczne, gdyby nie kryła się w nim głębsza treść, gdyby podany fakt nie był jedną z wielu przyczyn sytuacji istniejącej w spółdzielniach produkcyjnych. A stan ten w województwie lubelskim zmusza do poważnego zastanowienia się nad dotychczasową pracą i nad sposobami przewyżczenia zła. Oddają głos cyfrom.

W roku 1939 wieś lubelska produkowała przeciętnie 12,3 q z czterech podstawowych zbóż z 1 ha ziemi. (Mały rocznik statystyczny z 1939 r.). W roku 1955 wydajność ta wyniosła w spółdzielniach produkcyjnych 12,1 q (dane z Wojewódzkiego Zarządu Rolnictwa).

W roku 1939 — 1 ha ziemi dawał przeciętnie plon ziemniaków sięgający cyfry 139 q. W roku 1955 spółdzielnie uzyskały przeciętnie 66,9 q.

W roku 1939 ziemia lubelska otrzymywała na 1 ha 7,1 kg nawozów sztucznych łącznie z wapnem. W roku 1954 otrzymała ich 16,7 kg.

I jeszcze kilka ostatnich cyfr. W roku 1955/56 sprowadziliśmy do kraju tysiące ton zboża z NRD i Związku Radzieckiego. W tym samym okresie czasu w Lubelszczyźnie — na dzień 1 stycznia pozostawało do omlotów 2.529 stert i 72 pełnych zboża stodół. Na dzień 21 kwietnia pozostawało jeszcze 106 stert. W dniu 10 czerwca pozostało do omlotów w powiecie chełmskim w rejonach POM Wierzbica i Sielec jeszcze kilka stert. Nie jest wykluczone, że nie zakończyły jeszcze omlotów niektóre spółdzielnie produkcyjne w powiatach hrubieszowskim i biłgorajskim.

Powiedzcie mi wy wszyscy, którzy odpowiadacie za produkcję rolną — agronomowie, dyrektorzy Państwowych Ośrodków Maszynowych, pracownicy Zarządów Rolnictwa, jak to się dzieje, że urodzajna lubelska ziemia, otrzymując więcej nawozów sztucznych niż przed wojną, daje niższy plon? Odpowiedzcie mi — cóż to za gospodarz, który pozwala na niszczenie plonu, a kupuje chleb u sąsiada? Jak do tego doszło? Odpowiedzcie mi, ja powiem wam swoje racje.

Jest rzeczą zrozumiałą, że za produkcję rolną odpowiada przede wszystkim właściciel ziemi, rolnik — spółdzielca czy rolnik indywidualny. Ma on do pomocy agronomów, park maszynowy, fachowych doradców i „opiekunów“. Przyczyną niskiej wydajności ziemi należy więc szukać w warunkach, w jakich ten rolnik — i wszyscy udzielający mu pomocy — pracują. W Lubelszczyźnie większość spółdzielni produkcyjnych została „zbudowana“ przez aktywistów z województwa i powiatów, częstokroć przy pomocy ORMO-wców i dawanych szczerą ręką... obietnic. „Nie będziecie musieli harować od świtu do nocy, bo wszystko zrobią za was maszyny“, „Państwo przyjdzie wam z wydatną pomocą. Otrzymacie kredyty, wybudujecie domy“. „Jeśli założycie spółdzielnię, zelektryfikujemy waszą gromadę, zrobimy drogę...“ itd., itd.,

Słowa te padały na podatny grunt, na naszej wsi bowiem wytworzyła się bezpośrednio po wojnie dosyć dziwna sytuacja. W wyniku reformy rolnej tysiące dawnych fernali otrzymało ziemię,

ale... Jeden z robotników, który stał się gospodarzem dzięki reformie, powiedział mi kiedyś: „Państwo dało nam chleb, ale zabrakło zębów, aby go gryźć”.

Ci właśnie ludzie, którym brakło inwentarza, zabudowań i sprzętu, aby „dorobić się” na spekulacji, pierwsi usłuchali słów, które, jak się następnie okazało, nie miały pokrycia.

Powstało stąd zniechęcenie, brak zaufania do władzy, łamanie statutu spółdzielni i szukanie dorywczego zarobku. Nie pozostało to bez wpływu na pracę spółdzielni. To byłaby pierwsza przyczyna obniżenia wydajności z hektara.

Budowa spółdzielni produkcyjnej całkowicie uzależniona jest od stopnia mechanizacji rolnictwa. Nie do pomyślenia jest prowadzenie dużego zespołowego gospodarstwa przy ręcznym wykonywaniu wszystkich prac. Dlatego też szerszy rozwój kolektywnych gospodarstw poprzedzony został budową Państwowych Ośrodków Maszynowych. Liczba POM-ów na Lubelszczyźnie w zasadzie jest wystarczająca do wykonania wszystkich zamówionych przez spółdzielnie prac, co jednak wcale nie znaczy, że prace te wykonywa się jak należy. W czasie zebrań rozliczeniowych przeprowadzonych w roku bieżącym okazało się, że pretensje — uzasadnione pretensje — spółdzielców do POM-ów są duże. Złe wykonywanie pracy, nieterminowość, pogoń za efektami — oto główne zarzuty, które stanowią drugą przyczyną obniżenia wydajności ziemi.

Jest biurokracja, która przysparza kłopotów i utrudnia życie. Złościmy się na nią, wymyślamy... Ale jest również biurokracja, której w codziennym życiu nie odczuwamy, dopiero w swoich skutkach przynosi nam ona milionowe straty. Oto przykład:

„Towarzyszu dyrektorze, dlaczego traktorzyści waszego POM-u w Dębowej Kłodzie zaorali w spółdzielni produkcyjnej Uchnin łąkę zwykłymi pługami? Zniszczyli tę łąkę do tego stopnia, że przez kilka lat spółdzielcy nie będą mieli z niej siana.

— Zrobili to na moje polecenie. W roku ubiegłym Wojewódzki Zarząd POM w Lublinie zaplanował dla nas pięć pługów talerzowych do łąki.

Przy ustalaniu planu eksploatacji maszyn na rok bieżący pługi te zostały uwzględnione. Pługów wprawdzie nie otrzymaliśmy, ale plan jest planem. Nie wykonamy go, to nie będziemy oglądać prcmii. Próbowałem interweniować, ale to groch o ścianę...

— Rozumiem...”

W POM-ie Siennica Różana:

„Towarzyszu dyrektorze, dlaczego tak bardzo opóźnacie orki? Nie będziemy przecież siać w czerwcu?”

A cóż ja mogę poradzić? Otrzymaliśmy w tym roku dwa ciągniki więcej, ale nie mamy pługów zawieszanych. Przyjdzie w końcu do tego, że do ciągnika przyczepiać będziemy zwykłe chłopskie

sochy... Proszę, błagam, nikogo to nie wzrusza. Życ się nie chce.

— Rozumiem was...”

Rozumiem was — pracowników POM-ów. Ale przysłowiowego konia z rzędem dam temu, kto mi wyjaśni politykę Wojewódzkiego Zarządu Rolnictwa. Czyżby zasklepienie się w papierach, całkowite oderwanie od terenu i praca według ściśle ustalonego schematu nie uznającego praktyki były u nich aż tak daleko posunięte?

Jest oto trzecia przyczyna — niskich plonów.

Rozmawiałem przed miesiącem z młodym agronomem rejonowym jednego z POM-ów. Ukończył on WSR w Lublinie i zgodnie z nakazem pracy pracował w POM-ie.

„Byłe tylko wytrzymać te dwa lata, byłe tylko nie zgłupieć doszczętnie w tym czasie, a na pewno ani jednego dnia dłużej nie pozostanę tutaj, niż obowiązuje mnie nakaz”.

Nieuczciwość? Skądże. Ten człowiek pragnie pracować na wsi. Taki jest jego zawód i takie zamiłowania. Ale spróbujcie przez rok czasu mieszkać w POM Mirce (w powiecie hrubieszowskim) albo Chmielek (w biłgorajskim) czy Pucharki (w tomaszowskim).

Do najbliższej miejscowości 5—8 kilometrów, do stacji kolejowej 10—12 km. Kino? Skądże. Teatr? Marzenie. Biblioteka? Owszem, pięćdziesiąt tomów, z czego trzydzieści to dzieła klasyków marksizmu, a resztę stanowią książki biblioteczeki rolniczej, zapisane na marginesach jak nie kontrolowana książka życzeń i zażaleń w przydrożnej knajpie.

Za to co wieczór jest wódka i karty, a od czasu do czasu pogadanka jakiegoś tam przedstawiciela o moralności i postawie ideowej.

Młoda kadra agronomów rejonowych, spełniająca rolę gońców i „ludzi do wszystkiego” — od skupu począwszy, a na obsłudze zebrań i pisaniu referatów dla przewodniczących spółdzielni skończywszy, nie przynosi spółdzielcom dużej pomocy. Oczywiście pomocy takiej, do jakiej jest powołana. Młodzi agrotechnicy pracują wprawdzie ofiarnie, lecz trudno od nich wymagać cudów, jeśli już za sam fakt, że w tych POM-ach mieszkają, należą im się krzyże zasługi. Kto zajmował się lokalizacją Państwowych Ośrodków Maszynowych na Lubelszczyźnie? Niech odpowie mi, czym kierował się lokalizując je na największych odludziach i bezdrożach? Kto odpowiada dzisiaj za to, iż w czasie wiosennych roztopów i jesiennych słońc około 50% maszyn ulega zniszczeniu tylko na skutek przewożenia ich po wertepach? Jest więc czwarta przyczyna tak niskich plonów, do których nawet wstyd się przyznać naszym siadom.

I jeszcze jedna sprawa. Dlaczego nauczyliśmy się traktować rolnika jak ubożego krewnego klasy robotniczej, ciemnego i zacofanego, który nic nie widział i nic nie umie?

Dlaczego to utarły się u nas takie określenia, jak: „wiosenna akcja siewna“, „akcja żniwna“, „akcja jesienna“ i szereg innych jeszcze akcji? Odkąd to i jak długo jeszcze zwykle prace wiejskie określane będą mianem akcji? Z tymi „akcjami“ wiąże się nierozzerwalnie sprawa różnego rodzaju „pełnomocników“. Od władz centralnych począwszy, a na gromadach skończywszy, do każdej „akcji“ dodany być musi obowiązkowo „pełnomocnik“. Umiejętności i zasób wiedzy rolniczej takich pełnomocników określiłem w przytoczonym na wstępie opowiadaniu przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej. Ale ciekawa rzecz. Chęć kierowania, naganiania i poganiania rolników nie idzie u tych ludzi w parze z zasobem wiedzy rolniczej. Często, kierując się „wytycznymi“ bądź też wiadomościami zaczerpniętymi z prasy, ludzie ci zmuszali spółdzielców do wykonywania niektórych prac w polu w nieodpowiednim czasie, w złych warunkach atmosferycznych, co musiało w konsekwencji odbić się na wysokości zbiorów. Na podstawie moich osobistych obserwacji i rozmów z rolnikami działalność tych ludzi uważam za piątą przyczynę obniżenia wydajności z hektara. Naprawdę wśród tych ludzi niewielu było Dawydów.

I wreszcie ostatnia przyczyna. W spółdzielniach produkcyjnych województwa lubelskiego na 100 hektarów użytków rolnych przypada 6 sztuk bydła. Nie mam zamiaru pisać o błędach hodowli, bo nie to jest celem mego artykułu. Pragnę tylko zwrócić uwagę, że przy obecnym stanie hodowli spółdzielnie mogą nawozić swoją ziemię nawozem naturalnym raz na 12 lat. Nasi działacze mówią wprowadzić o konieczności rozwoju hodowli, ale odnosi się wrażenie, że hodowla o tyle jest dla nich ważna, o ile sprzyja propagandzie uprawy kukurydzy. Twierdzenie opaczne, ale wytłumaczcie mi, dlaczego w roku 1938 było w Polsce 10,5 miliona sztuk bydła, a w roku 1954 zaledwie 7,7 miliona? Czyżby ilość uprawianej kukurydzy była wtedy większa? Nie wierzę. Przecież od czasu, gdy N. S. Chruszczow „odkrył“ przed naszym rolnictwem wartość użytkową tej rośliny, minęło dopiero dwa lata.

Przy uzyskiwaniu tak niskich plonów, karygodne jest dopuszczanie do powstania strat przy sprzęcie, a na skandal zakrawa fakt zmarnowania minimum 40% zbiorów wskutek niedokonania omlotów we właściwym terminie. W analizie spółdzielni produkcyjnych dokonanej przez Wojewódzki Zarząd Rolnictwa można przeczytać:

„...Wojewódzki Zarząd Rolnictwa opracował analogicznie plan na okres rozliczeń w spółdzielniach, który wskazywał: do dnia 15 listopada zakończenie prac gospodarczych, jak siewy, wykopki itd. W terminie do 20 grudnia Państwowe Ośrodki Maszynowe zabezpieczą pełne wykonanie omlotów. Na szczeblu powiatowym przeszkolony zostanie aktyw, któremu na okres całej kampanii przydzielone zostaną poszczególne spółdzielnie...“

W dalszym ciągu tej samej analizy stwierdza się beztrąsko:

„...Wskutek ciężkich warunków atmosferycznych, jak również zbiegu różnych prac polowych w jednym okresie (wykopki, orki, siewy itp.), tak POM-y jak i spółdzielnie nie mogły dotrzymać zaplanowanego terminu (częste przestoje maszyn i brak rąk do pracy...). „Na dzień 31 grudnia 1955 roku omloty zakończyły zaledwie 62 spółdzielnie produkcyjne...“

A więc nie pomogło „przeszkolenie aktywu powiatowego, ustalenie harmonogramu prac itd.“. Spółdzielnie nie mogły wykonać omlotów, bo nastąpiły „złe warunki atmosferyczne, zabrakło rąk do pracy i często psuły się maszyny“. Cóż to za rzucanie piaskiem w oczy, coś to za wzajemne okłamywanie się! Nie trzeba zbyt dobrej pamięci aby stwierdzić, że złe warunki atmosferyczne rozpoczęły się dopiero pod koniec stycznia, że cała jesień 1955 r. i pierwsze miesiące zimy raczej sprzyjały prowadzeniu omlotów. Jeśli chodzi o „zbieg różnych prac polowych, jak wykopki, orki, siew“, to wytłumaczcie mi, kiedyż to prace te nie zbiegają się? I wreszcie ostatnia próba zrzucania odpowiedzialności na „przyczynny obiektywne“ — brak rąk do pracy. Z analizy wypracowanych dniówek obrachunkowych wynika, że na przykład w powiecie biłgorajskim 49% zdolnych do pracy spółdzielców nie wychodzi w pole, w powiecie radzyńskim nie uczęszcza do pracy 40%. Czy cyfry te nic nie mówią? Czy nie dają odpowiedzi wykluczającej brak rąk do pracy?

Powiedzmy sobie wyraźnie. Jedną z zasadniczych przyczyn nadmiernego opóźnienia w omlotach i powstałych stąd strat jest brak odpowiedniego sprzętu mechanicznego, brak odpowiednich maszyn. W okresie wielkomanii, w okresie lakierowania istotnego stanu wsi polskiej nasz przemysł rozpoczął produkcję maszyn rolniczych nie nadających się do użytku. Dotyczy to młocarni polskiej produkcji, na których jakość skarżą się prawie wszyscy użytkownicy. Czy w sytuacji w jakiej znajduje się nasza wieś, nie słuszniejsze byłoby sprowadzenie z NRD młocarni, zamiast zboża, które zniszczyliśmy u siebie?

Drugą przyczyną marnotrawstwa zboża w spółdzielniach produkcyjnych jest zbiurokratyzowanie i na ogół niski poziom wiedzy rolniczej naszego aparatu służby agrotechnicznej Rad Narodowych i Państwowych Ośrodków Maszynowych, pracującego według schematu. Nie wystarczą tu dobre chęci, samozaparcie i poświęcenie szeregowych pracowników. Potrzebna jest radykalna zmiana aparatu kierującego rolnictwem, dokładna selekcja zatrudnionych osób. Faulowie, którzy przyczynili nam tyle trosk i trudności, powinni odejść z rolnictwa jak najszybciej.

Dyrektywy planu 5-letniego zakładają wzrost produkcji rolnej o 25%, w tym roślinnej o 22% i zwierzęcej o 29%. Nie osiągniemy tego wzrostu przy obecnym stanie mechanizacji, przy obecnym

systemie produkcji rolnej. Nie zapewnią nam realizacji tych zadań zdyskredytowane w oczach rolników formy sojuszu robotniczo-chłopskiego w rodzaju „pełnomocników“, „ekip łączności miasta ze wsią“ czy „szefostw zakładów produkcyjnych nad POM-ami i spółdzielniami produkcyjnymi“. Nie za-

pewni nam realizacji tych zadań wstydlive przemilczenie problematyki wiejskiej. Nigdy bardziej niż obecnie nie potrzeba nam było śmiałej, rzetelnej krytyki popełnionych błędów i gorącej dyskusji. Niech więc rozpocznie się taka dyskusja.

Adolf Lekki

Józef Ratajczak

DZWON

Kopiemy w głąb, uparcie w głąb
przez setki warstw i złóż —
ziemia — urwany ciężki dzwon
pędzi w poszumie brzoź.

Bierzemy w dłonie zwoje lin
bijemy sercem w miedź
a globu dzwon roznosi hymn
na pracy naszej cześć.

WIERSZ

W redakcjach piszą — „słabe“
— „brak rytmu“
— „metafory“
a ja rozdieram każdą sylabę
i rym na serce spada
gorący meteoryt.

Wtedy zaczynam się jękać
szukać
zęby zaciskać —
i długo, nerwowo wyciągam
wiersz mały — szerniały kasztan
z buzującego ogniska.

Oto podrzucam go w ręce
gdy jeszcze dymi i parzy
aż kureczy się, stygnie naprędcę
i dłoń zimną rozwieram
z nagłym grymasem na twarzy.

Józef Ratajczak



MATKI

1.

Gdy stary doktor odszedł od tapczana chorej i kręcąc głową zasiadł przy stole, by napisać receptę, serce Franka zamarło w bolesnym oczekiwaniu, a oczy jego wparły się błagalnie w ruchy posuwającej się po papierze ręki. Lekarz odczuł niemą prośbę chłopca i zza złotych okularów wysłał w jego stronę krzepiące spojrzenie. Namyślał się przez chwilę, po czym skreśliwszy na kartce kilka łacińskich wyrazów rzucił ciężko oddychającej Mieczykowej: „Do widzenia, pani!” i chrząknął porozumiewawczo na Franka. Ten domyślił się i odprowadził doktora na podwórze.

— Odwagi, chłopcze — rzekł ciepłym głosem Mielnicki. — Nie będę ukrywał, że stan twojej matki jest bardzo poważny. Komplikacje pogrypowe. Serce osłabione, organizm wycieńczony, a i ten szósły krzyżyk nie ma już takiej odporności. Ale będziemy robili wszystko, aby ją uratować. Te zastrzyki wzmacniające — nie obiecuję z pewnością — ale kto wie, może ją podtrzymają. Abyś je tylko dostał w aptece. No, nie maź się, bekso — dodał szorstko widząc lzy spływające po twarzy Franka. — Jesteś już przecież mężczyzną. — I ściskając rękę dziękującego mu chłopca dodał cicho, jakby wstydząc się swego zwierzenia: — Straciłem matkę, mając trzy lata. Nie pamiętam jej wcale.

W bramie odwrócił się jeszcze raz i zażartował:

— A dopisz tam na moim rachunku powojennym 30 złotych!

Franek wrócił do pokoju. Chora miała zamknięte oczy i półotwarte usta. Zasnęła na chwilę. Patrzył na tę najdroższą twarz wychudzoną i poraną przedwczesnie zmarszczkami. Nie zawsze była taka. Przed trzema laty policzki miała rumiane i pełne, a bruzdy na czole i przy ustach znaczyły się jeszcze nieśmiało. Ale przyszyła wojna, bombardowanie, śmierć męża i córki pod gruzami, później ucieczka do Łodzi, wypędzenie z tego miasta, miesiąc straszliwej poniewierki, nędra i głód. Po różnych przejściach Mieczykowa z trzynastoletnim wówczas synem ostała się wreszcie w tym miasteczku lubelskim, gdzie wegetowali już drugi rok. Życie było ciężkie pod każdym względem. Zarabiała szyciem i praniem, trochę pomagał komitet, Franek chodził na posługę do sklepu zaniebując szkołą. Wszystko to ledwo starczyło na skąpe utrzymanie. Ale główną przyczyną troski Anny Mieczykowej było co innego. Ze niedawna pani kasjerowa, w której domu nigdy się zresztą nie przelewało, jać się musiała ciężkiej pracy fizycznej — to ostatecznie głupszo. Byłe zdrowie dopisywało. Tysiące kobiet polskich znalazło się w takich, a może i gorszych warunkach. Ale trudno było przeboleć śmierć ukochanego męża i dwudziestoletniej córki. Trudno pogodzić się z uciskiem wroga, który szalał po kraju jak najdzikszcze zwierzę.

I ten ustawiczny lęk o syna. Miał wprawdzie czternaście lat i chodził jeszcze do szkoły powszechnej, ale rozrośnięty, nadmiernie dojrzały ogromem ciężkich przeżyć wyglądał poważnie. A nuż go schwytają na ulicy i wywiodą, gdzieś na roboty albo i do obozu... przecież wypadki takie nie należały do rzadkości. To też drżała o chłopca, każde jego wyjście po sprawunki, do szkoły, do sklepu, w którym usługiwał, kosztowało ją tyle nerwów...

Franek wiedział o wszystkim. Uspokajał matkę, jak mógł, bagatelizował jej obawy, nawet wyśmiewał. Ale serce zalewała mu ciepła fala uczucia, gdy słuchał jej upomnień, wiecznych utyskiwań. Nie uwewnętrzniał wzruszenia maskując je pozorną beztroską. Ale teraz, gdy patrzył na znekąną, zbolałą twarz staruszki, na piersi podnoszone ciężkim oddechem i myślał, że te oczy, zawarte snem chwilowo, mogły się nie otworzyć nigdy, ogarniała go taka rozpacz, że gotów był wyć jak szaleniec. Nie wyobrażał sobie życia bez niej. Stracił ojca i siostrę, znalazł się w obcym mieście wśród nieznajomych ludzi — matka była jedyną ostoją, zacisznym portem, do którego wpływał bezpiecznie, znudzony całodzienną krętanią. Ją miał jedną na świecie i bez niej świat przestałby dla niego istnieć. Jest podłość, zło i ohyda, żandarm niemiecki spycha ludzi z chodników, gestapo w białe dzień urządził polowania z nagonką na młodzież, esesmani biją Żydów, od czasu do czasu rozlegają się suche odgłosy strzałów w lasku podmiejskim — ale matka co dzień mu powtarza: przetrwamy, synku, przetrwamy, Polska będzie — i w dobrym matczynym spojrzeniu znajduje Franek pewność i oparcie.

Chora poruszyła się we śnie. Chłopiec ocknął się z zadumy i podszedł do stołu. Recepta! Tak, doktor powiedział, że te zastrzyki mogą podtrzymać jej siły. Trzeba czym prędzej biec po lekarstwo. No i felczer. Wziął kartkę do ręki i próbował odcyfrować nieczytelne łacińskie wyrazy. Ze też ci lekarze muszą zawsze pisać tak niewyraźnie! No, ale w aptece dadzą sobie z tym radę. Tyłko ile to będzie kosztować?

2.

Ta grypa przyszyła niespodziewanie i mocno nadzarpnęła ich „stan posiadania“. Franek otrzymał zapomogę z komitetu i udało mu się dostać w sklepie należność za cały miesiąc napród. Ale trzeba było jeść, matka nie mogła teraz zarobić. Lekarstwa były drogie. Całe szczęście, że doktor Mielnicki leczył bezinteresownie, z czym zresztą Franek nie mógł się pogodzić, zapisując skrupulatnie każdą wizytę lekarską, aby później kiedyś, gdy wojna się skończy, ten dług uregulować. Też zagadnienie, ile będą kosztować te zastrzyki, miało wagę ogromną. Zostało mu jeszcze około 100 złotych. Czy starczy? A przecież i felczerowi trzeba coś zapłacić. A mleko, masło dla chorej, którą musi lepiej odżywiać? Na pomoc komitetu nie

mógł już liczyć, przynajmniej w tym miesiącu, a jego szef sklepowy bardzo niechętnie wpłacił mu przed tygodniem nie zarobione jeszcze pieniądze za następny miesiąc.

Z bijącym sercem przestąpił próg apteki. Ekspedientka w białym fartuchu obojętnie przyjęła receptę, obliczyła coś na stronie i odpowiedziała:

— Płaci pan 85 złotych.

Franek uczył, jak ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Zostanie mu kilkanaście złotych. A przecież felczer za jeden zastrzyk weźmie najmniej 10 złotych. No i jeść, jeść przecież trzeba. Przewyciężył wrodzoną nieśmiałość i rumieniąc się ze wstydu zapytał:

— Czy, proszę pani, nic nie będzie taniej?

— Apteka to nie sklepik, w którym można się targować. Zastrzyki te to drogi zagraniczny środek i zostało nam tylko jeszcze jedno pudełko.

Ekspedientka miała swoją rację. Jej matka była zdrowa i nie odczuwała głodu. Przez chwilę patrząc na zawstydzoną twarz chłopca zawahała się, czyby nie odesłać tej sprawy do magistra, niech sam załatwi, może policzy taniej. Ale zlustrowawszy schłodnie i przyzwolite ubranie Franka, sprawione przed samym wybuchem wojny i oszczędzane heroicznie, zawyrokowała: kręctwo, z pewnością może zapłacić. Zresztą wrodzone lenistwo powstrzymało ją przed udaniem się do gabinetu szefa.

— Więc jak? Bierze pan?

— Proszę — odpowiedział cicho Franek i wręczył jej banknoty. Zgarnął kilka papierków i z pudełeczkiem w kieszeni i wielką troską w sercu opuścił aptekę.

No, tak. Są więc zbawcze zastrzyki, od których życie matki zależy. Ale co dalej? Przecież to lekarstwo na razie jest bezużyteczne. Felczer musi dokonać iniekcji, a darmo tego nie zrobi. A zakupy do domu? Trudno, trzeba spróbować, może jednak uzyska jeszcze zaliczkę w sklepie. Wprawdzie nie jest to przyjemnością oglądać zatłuszczone oblicze właściciela i chytre, biegające jego oczka, nie jest rozkoszą słuchać jego opryskliwych słów, ale innego wyjścia nie ma.

Pan Magiera przyjął go bardzo niegrzecznie:

— No, jesteś nareszcie! Coż ty myślisz, że ci będę płacił za nic? Potrzebny mi właśnie byłeś: przywieziono piwo. Sam musiałem dźwigać butelki.

— Proszę mi wybaczyć, ale pan wie, że moja matka jest chora, właśnie był doktor.

— Tak, wiem, wiem, ale to się za długo ciągnie.

— Odrobię później wszystko w dwójnasób. I chciałem pana bardzo prosić o trochę zaliczki.

— Jak to, przecież już dostałeś za cały następny miesiąc.

— Prawda, ale zastrzyki kosztowały drogo, a teraz jeszcze felczer...

— Nic ci nie dam! Nie jestem instytucją dobroczynną. Idź do komitetu!

— Właśnie byłem tam przedwczoraj i dali mi trochę, ale powiedzieli, żebym w tym miesiącu na więcej nie liczył.

— Więc co ty sobie myślisz? Ja mam być lepszy od komitetu?

— Proszę pana...

— Ani słowa! Nic mnie to nie obchodzi. A zaniedbuj mi się dalej tak w pracy, to cię w ogóle wyrzucę na zły leń!

Franek połknął obelgę i powstrzymując ciszące się do oczu łzy wyszedł ze sklepu. Tak, tak. To należało przewidzieć. Magiera nie był uczynny i serce miał twarde. I to dziwne, że mu wtedy nie odmówił. Ale co robić?

Na ulicy zwrócił jego uwagę jakiś niezwykły ruch. Ludzie trwożnie chowali się po bramach. Żandarmi snuli się po chodnikach. Dwóch popychało jakiegoś Żyda uderzeniami kolby. Z któregoś domu dochodził przejmujący krzyk kobiety i niezrozumiałe żydowskie skargi. Gdzieś daleko rozległy się strzały.

Franek pędził do domu i nagle zetknął się oko w oko z Władkiem. Był to jego kolega szkolny. Spieszył się ogromnie i wyglądał miał bardzo zaferowany.

— Nie wiesz, Władek, co to się znowu dzieje?

— Aha, nie wiem. No, przecież od rana jest a'cja.

— Jaka znowu akcja?

— No, wylapują Żydów. Starych zabijają na miejscu, a młodszych pędzą do naszej szkoły.

— Do naszej szkoły?

— No, tak. Tam zrobili punkt zborny. Lekcji dzisiaj nie ma i pewno ta labia potrwa dłużej.

— Ale po co?

— Ach, jakis ty głupi! No, poślą ich do jakiegoś obozu pracy.

— I coż oni na to?

— A chowają się, gdzie mogą. Ale to nic. Wynajdują ich wszędzie. Ale jakie to dranie są wśród naszych kolegów!

— No?

— Wiesz, ten Wicek z Grochówki, którego tak nie lubimy. No, wiedzieliśmy — andrus, grandziarz, ale żeby aż tak...

— Co takiego?

— Chwalił się przede mną, że pomaga wyszukiwać Żydów. Trafił na jakiegoś wariata esesmana, który mu płaci 50 złotych „od lebka“. „Od lebka!“ Uważasz, tak się wyraził. Mówi, że już „zarobił“ 150 złotych.

— Okropne!

— O, widzisz, to właśnie ten oberscharführer. Ten dopiero musi kochać Żydów! Ale ja leczę, bo można coś oberwać.

Franek spojrział na esesmana. Znał go z widzenia. Młody, przystojny chłopak, dbający wielce o swą powierzchowność, wiecznie z szpicrutą w ręku, którą nieraz częstował na ulicy przechodzących Żydów. Że też można czuć w sercu taką nienawiść do człowieka. Ale co tu czas marnować! Nic się nie poradzi. Trzeba czym prędzej do domu, mama już się pewno obudziła i czeka na jedzenie.

3.

W pobliżu domu, w którym mieszkali Mieczysławowie, stał stary kościół, pamiętający jeszcze czasy jagiellońskie. W podziemiach jego spoczywały zwłoki zakonników. Franek nieraz zaglądał z kolegami przez otwór w murze do wnętrza piwnicy. Kiedyś jeden ze śmiarków wyprawił się tam zimowym wieczorem

i potem szcękając zębami, blady z emocji, opowiedział oczekującym go pod kościołem łobuziakom makabryczną historię o jakimś mnichu w brązowym habicie. Miał podobno rysy twarzy zachowane doskonale i gdy intruz się nad nim pochylił oświetlając go latarką, poruszył się nagle w trumnice.

Otdąd Franek z zabobonnym lękiem miał zawsze kościół wieczorem, ale nie mógł się nigdy powstrzymać, aby przechodząc nie spojrzeć na otwór wiodący do podziemi. I teraz właśnie śpiesząc do domu popatrzył w tę stronę. Serce zbiło mu nagle. Czy to halucynacja? Wydało mu się, że w otworze zobaczył jakąś bladą twarz, która obserwowała ulicę i na jego widok szybko cofnęła się do wnętrza. Nie, wzrok go nie mylił. Widział najwyraźniej, co więcej, twarz wydała mu się znajoma. Tak, to nie było pomarszczone oblicze zakonnika. Gdzieżby tam upióry w biały dzień niepokoiły żyjących! Ale skąd zna tę twarz, gdzie się z nią spotykał? I nagle uprzytomnił sobie, że to przecież sklepikarka Goldbergowa, u której nieraz kupował jarzyny, zanim wypędzono ją do ghetta. Zrozumiał teraz. Ukrywa się biedactwo przed dzisiejszą obławą. No, gdyby Wicek z Grochówki odkrył jej schronienie!

Matka obudziła się, gdy wchodził, i bolesnym, dalekim spojrzeniem powitała syna.

— Pić — domyślił się raczej, niż dosłyszał jej cichy szept. A gdy podał jej mleko, nie mogła unieść głowy z poduszki. Pomógł jej, przy czym trochę białego płynu wylało się z szklanki na koldre.

— Jak się mama czuje?

— Bardzo mi słabo — znowu sformułował sobie odpowiedź z niewyraźnego ruchu warg.

— Doktor powiedział, że po tych zastrzykach mama się poprawi.

Jęknęła niecierpliwie i tym razem usłyszał jej słowa:

— Nic mi nie pomoże. — A za chwilę: — Po księdza by, synku...

Rozpacz targnęła Frankiem. Tylko nie to! Spowiedź, komunja chorej — to wszystko chłopiec kojarzył z nieuniknionym końcem. Skoro ksiądz przestąpi próg tego pokoju, matka umrze. To byłoby kapitulacją, jakby przed śmiercią wywieszano się białą chorągiew. I choć nieraz słyszał, że wizyta księdza u chorego nie jeszcze nie przesądza, że nawet po takich odwiedzinach chorzy czasami zaczynają się czuć lepiej, tkwił w nim jakiś uparty przesąd, którego nie mógł pokonać. Przecież jeszcze nie wszystko! Przecież te zastrzyki!

— Idź, synku, idź po proboszcza — nagliła cichym lektorem.

Nieprzytomny z bólu wybiegł na ulicę. Jeszcze nie uświadomił sobie, czy spełni prośbę matki. Wiedział jedno: musi ją ratować! Trzeba natychmiast sprawdzić felczera, niech zrobi zastrzyk. Ale pieniądze?!

Przechodząc obok kościoła ujarzał nagle idącego naprzeciw oberscharführera z szpicrutą. Opodał kroczyli dwaj uzbrojeni żandarmi. Esesman siedł pewnym, młodzieńczym krokiem, pogwizdując jakąś melodię. Zrównawszy się z chłopcem zmierzył go lekko drwiącym spojrzeniem i nagle zatrzymując się zapytał:

— Hast du keinen Juden gesehen?

I Franek sam nie wiedział jak to się stało. Jakby nie on, jakby ktoś stojący poza nim podniósł mu nagle rękę w kierunku otworu kościelnej piwnicy. I nie on, ale ktoś inny, wrogi mu i jednocześnie bliski serdecznie wybełkotał:

— Dort, dort ist eine...

Oberscharführer roześmiał się, rzucił rozkaz żandarmom i wyciągnawszy z kieszeni portfel cisnął chłopcu banknot pięćdziesięciolotowy.

— Nne, du bist ein braver Kerl!

Franek jakby wrosł w ziemię. Papierek upadł na chodnik. W tej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk Żydówki wyciąganej przez żandarmów z podziemi. Bili ją i popędzali kolbami. Każde uderzenie godziło we Franka, jakby spadało na jego trzęsące się ciało. Teraz strzelają... Ach, jeśli padnie strzał, Franek wie, że i w jego serce ugodzi. Rzuci w twarz esesmanowi przeklęty banknot, grzmotnie pięścią w te jego jasne, niebieskie oczy i niech się potem co chce dzieje.

Ale strzał nie padł. Oprawcy oddalili się wraz z krzyżującą Żydówką. Pozostał Franek. Schylił się i kuczowo ścisnął dłońmi parzący go banknot.

4.

Już trzeci dzień felczer robi Mieczkowskiej zastrzyki. Chora czuje się lepiej i ma większy apetyt. Już nie mówi takim słabym głosem i po dawnemu zaczyna troszczyć się o Franka. To najlepsza oznaka poprawy. Po południu przyszedł doktor Mielnicki. Zbadawszy pacjentkę mrugnął wesoło na Franka.

— No, chłopcze, uszy do góry! Zdaje się, że jesteście na dobrej drodze. A pani powinna być dumna z takiego syna!

Mieczkowska ogarnęła chłopca pieszczącym spojrzeniem.

— Tak, panie doktorze, panu i jemu to zawdzięczam. Któż się koło mnie krząta i o wszystkim pamięta! Pocziwie, kochane dziecko...

A Franek stał przy oknie czerwony i nie śmiał spojrzeć: matce w oczy. Radość, radość, że będzie żyła, ale jakież palący wstyd, jakież upokorzenie... Gdyby mogła czytać jego myśli, gdyby zajrzała w głąb serca, zdradzałyby ze zgrozy i zamknęła zapewne oczy, tym razem już na zawsze. Bo Franek dopiero teraz uprzytomnił sobie w całej pełni ohydę swego postępcu. Póki biegł po felczera, kręcił się koło matki, załatwiał zakupy i sprzątał, pracując za trzech, by potem wybiec na kilka godzin do sklepu — zagłuszał tą krzątaniną głos, który teraz tak wyraźnie usłyszał: coś uczynił, Franku? I próżno się usprawiedliwiać przed samym sobą, że była to zbrodnia bez premedytacji, że zrobił to nagle, bez zastanowienia, jakby działał we śnie. Fakt pozostawał faktem. Upodobnił się do Wicka z Grochówki, na którego postępowanie wzdygał się z takim obrzydzeniem.

A doktor jakby odpowiadając na jakąś nurtującą go myśl, zauważył nagle:

— Franek musi się czuć szczęśliwym, co mie o wszystkich chłopcach w mieście można dziś powiedzieć.

Chora poruszyła się na łóżku.

— Pan doktor myśli o tych ostatnich wypadkach z Żydami. Była tu u mnie rano sąsiadka i opowiadała straszne rzeczy.

— Niepotrzebnie pani przyjmuje takie denerwujące wizyty. Franek nie powinien wpuszczać gości.

— Nie było go w tedy. Przyniosła mi rosółu i kawalczek kury. Pod wielkim sekretem powiedziała, że jej znajoma ukrywa u siebie ośmioletniego Abramka, syna tej sklepniczarki Goldbergowej.

Serce Franka zamarło przez chwilę i bić przestało. W oczach zawirowały mu fioletowe pląski, aż musiał się oprzeć o framugę okna. Krew odpłynęła mu od twarzy i stał się tak blady, że to zwróciło uwagę lekarza.

— Franek, trzeba się dziś porządnie wyspać. Wyczerpały cię te dni ostatnie.

— Biedny chłopak, takie to wrażliwe... Otóż, panie doktorze, ten mały Abramek nie podobno jeść nie chce, tylko płacze wciąż i woła: „Mame, gdzie moja mama“?

— Wiadomo gdzie — odburknął doktor — jeszcze w szkole razem z innymi, ale dokąd ich wywiozą jutro? No, ale ja już muszę uciekać. Więc zastrzyki w dalszym ciągu. Nie wstawać, leżeć. Wszystko będzie dobrze. Do widzenia pani, do widzenia, Franku!

Tym razem Franek nie odprowadza jak zwykle doktora. Nie ma sił po prostu. Zamęt. Straszliwy zamęt w głowie. Patrzy na uśmiechającą się do niego twarz matki i w oczach mu staje straszliwa maska przerażonej śmiertelnie Żydówki. Abramek wciąż płacze, jeśli w ogóle nie chce i tylko woła: „Mame, gdzie moja mama“? Jak to powiedział doktor: — ale dokąd ich wywiozą jutro? Żeby na roboty, ale jeśli do Sobiboru? Przecież to bardzo prawdopodobne. Chociaż z drugiej strony — starych wystrzelali i tych więc, gdyby chcieli, mogli uśmiercić. Tak, z pewnością na roboty. Ale zabierali i dzieci, które przecież pracować nie będą. Więc może jednak Sobibór? A Abramek tam płacze, chce do matki, kocha ją na pewno nie mniej niż Franek swoją.

— Synku kochany — odezwała się nagle Mieczykowa — jakżeż wdzięczna jestem Bogu, że obdarował mnie takim dzieckiem, które mi nigdy wstydu nie przyniesie. Jak szczęśliwa jestem, że wracam do zdrowia i że jeszcze trochę pożyję przy tobie. Doczekamy lepszych czasów. I Polski.

A każde słowo matki smagało Franka po twarzy jak hańbiący policzek. Gdybyż wiedziała, gdybyż wiedziała... I nagle z szalejącego w głowie zamętu krystalizuje się jądro decyzji. Jasne, przeraźliwie jasne, rozświetlające swym blaskiem drogę najbliższych godzin. I jak ciepło matczynego spojrzenia rozlała się po nim tklivość niezmierna i serdeczność, gdy drżącym ze wzruszenia i załamującym się głosem powiedział:

— Tak, mamusiu, nie przyniosę ci wstydu...

5.

Franek postanowił ratować Goldbergową. Abramek musi odzyskać swą matkę. Abramek nie będzie płakał. Plan chłopca był niezwykle prosty i jak wszyst-

kie genialne pomysły zrodził się w jego głowie nagle, właśnie w chwili, gdy słyszał słowa matki z taką pewnością orzekające jego uczciwość i prawotę. Szkoła mieściła się w starej ruderze pełnej zakamarków, których istnienia hitlerowcy lokujący tu Żydów na pewno się nie domyślali. Byłe się dostać do starych jatek, jeszcze przed wojną opuszczonych po wybudowaniu nowych. Stamtąd przez wiadomy otwór w parkanie, gdzie odsuwała się deska, można się było przedostać na podwórze szkolne. Tam labirynt komórek, wśród których tak dobrze bawiono się w chowanego podczas przerw lekcyjnych. Jedno z tych zabudowań przylegało bezpośrednio do muru szkolnego; z dachu tej komórki z łatwością można było wejść przez okno do ustępu szkolnego, a stamtąd na korytarz. Tą samą drogą będzie mógł później wyprowadzić Goldbergową. Tylko czy okno otwarte? I jak potem rozeznac się w szkole? W której klasie mogli ich umieścić? Jak znaleźć wśród gromady matkę Abramka, a potem dać jej tajny znak, którego by nie zauważyli inni? Bo inaczej każdy by chciał uciec, co by uniemożliwiło wykonanie planu. Tak, to wszystko nie jest takie proste, ale Franek liczył na intuicję i na szczęście. Noc powinna być ciemna, bo księżyc na nowiu. Prawda, jeszcze kwestia godziny policyjnej, ale do starych jatek niedaleko. Goldbergowa przechowa się na razie w ich mieszkaniu albo na strychu.

O godzinie jedenastej, gdy Mieczykowa spała już twardym snem, chłopiec zbliżył się na palcach do łóżka matki, pocałował ją z lekka w czoło i cichutko wymknął się z pokoju. Na podwórzu owionęło go chłodne powietrze, kojący oddech nocy. Kilka gwiazd drżało na niebie. Cisza panowała dokoła, przerywało ją tylko od czasu do czasu dalekie szczekanie psa. Furtka w bramie była zamknięta, ale Franek miał klucz. Otworzył ostrożnie starając się nie hałasować, nie zamknął jej za sobą i znalazł się na ulicy. Do jatek było ze sto metrów. Z zapartym oddechem przemycił się od bramy do bramy zatrzymując się we wnękach i bacznie nasłuchując. Na szczęście nikogo. Za chwilę był już w opuszczonym gmachu pod arkadami sklepień. Wymacał w parkanie odsuwającą się deskę i już był na podwórzu szkolnym. Tu stanął w wążutkim przejściu między dwiema komórkami, aby się rozejrzeć w sytuacji i zebrać myśli.

Podwórze od tej strony było wolne, ale za parkanem od drugiej ulicy słychać było kroki wartownika. Nucił coś pod nosem i w pewnej chwili ziewnął donośnie. Psia kość, mogły się zdrzemnąć, ale, szelma, czuwa. Czy aby tylko jeden? W każdym razie trzeba przeczekać, aby się oddalił w drugą stronę, bo trudno wdrapać się na dach komórki bez żadnego hałasu. No, nareszcie, poszedł sobie. Franek wciągnął się na rękach na otwarte drzwi ostatniej komórki, skąd starając się o zachowanie możliwej ciszy wspiął się na dach. Serce zabiło mu radośnie, gdy dotknął uchylonego okna od ustępu. Miał jednak rację licząc na swoje szczęście, choć zdecydowany był na wyluczenie szyby, gdyby tego wymagała ostateczność. Byłoby to ogromnie ryzykowne, bo jak uniknąć przy tym hałasu, ale cóż by innego mógł zrobić. Tymczasem kroki wartownika znowu zaczęły się zbliżać. Franek

przypadł na płask do dachu i zamarł w oczekiwaniu. Niemiec tym razem pogwizdywał na zmianę, borykając się widocznie z ogarniającą go sennością. Gdy znowu się oddalił, Franek wdrapał się na parapet okienny i za chwilę znalazł się w ustępie.

Ale co dalej? Czy wewnątrz jest jakaś warta i jak ją ominąć? Posuwał się omakiem, przeczornie zdjąwszy z nóg trzewiki. Drzwi wiodące na korytarz skrzypnęły lekko pod dotknięciem jego drżącej ręki. Franek zadyszał i krople potu spłynęły mu po czole. Cisza. A jednak za tą pozorną ciszą czuć obecność wielu istot ludzkich, oddech licznych ciał, których odór dołata na korytarz, niemal że słychać przyspieszone bicie przerażonych serc oczekujących nieznanego.

Przypuszczalnie zgromadzono ich w klasie szóstej, jako że jest ze wszystkich największa — rozmawiał Franek — ale to jeszcze nic nie dowodzi: mogli umyślnie stłoczyć ich w najmniejszej, aby się bardziej męczyli. A może jest ich tak wiele, że umieszczono ich w kilku izbach? Spróbuję od szóstej.

Skreślił w boczny korytarz i zatrzymał się przed klasą. Wszystko wskazywało na to, że wewnątrz budynku warty nie było. Niemcy uważali widocznie, że wystarczy pilnować od ulicy, sądzili zapewne, że steroryzowani Żydzi nie odważą się w ogóle na żadną próbę ucieczki. Drzwi do klasy były lekko uchylone i uderzył z niej wstrętny zapach czosnku, tanich papierosów, potu i niemytych ciał. Ktoś jęczał przez sen czy na jawie, ktoś inny kaszlał. Gdzieś z kąta pokoju dolatywał cichy szepot rozmowy. Gdzież tu może być Goldbergowa, jak ją w tej gromadzie wyszukać? Teraz dopiero zrozumiał niedorzeczność swojej wyprawy, z góry skazanej na niepowodzenie. Ogarnęła go apatia, naprężone nerwy odmówiły posłuszeństwa, z trudem powstrzymywał szloch wydzierający się z piersi.

I nagle tuż obok drzwi usłyszał szloch kobiety, słaby, płacziwy głos, załamujący się w niezrozumiałej dla niego skardze, w której zdawało mu się, że uchwycił gardłowe dźwięki wyrazu: Awhum. Czyżby los uśmiechał się do niego i szczęśliwy zbieg okoliczności sprzyjał jego rehabilitacji? Mogłaż to być właśnie Goldbergowa wspominająca swego synka? Wprawdzie imię to wśród Żydów jest tak pospolite, ale kto wie, może właśnie. Wsunął głowę do ciemnej sali, buchnęło nań ciepło i zaduch straszliwy przyprowadził o młodości. Jak najciszej, ledwo dosłyszalnym dla siebie nawet szepem wydmuchał w kierunku, skąd go dochodziła skarga: — pani Goldbergowa — i jeszcze raz: — pani Goldbergowa...

Skarga urwała się nagle, jakby ktoś nasłuchiwał. Franek odczuwał na sobie wyraźne spojrzenie ludzkie, choć nic nie dostrzegął i sam był również niewidzialny. Obawiając się ponownego powtórzenia nazwiska, zaczął delikatnie skrobać paznokciem po drzwiach, w ten sposób dając sygnał. Ciało ludzkie w pobliżu poruszyło się, wstało nagle z jękiem, jakby pozorując ból żołądka i powoli sunęło ku Frankowi. Chłopiec wycofał się na korytarz i gdy postać kobieca znalazła się poza obrębem klasy cichutko szepnęła: — Czy to pani Goldbergowa? — Odgadł raczej, niż dosłyszał nieuchwytnie: — Tak.

— Proszę za mną! — Wyciągnął do niej rękę, odczuł drżącą, mokrą od potu dłoń i zaczęli powolutku

kierować się w stronę ustępu. Gdy się w nim znaleźli, Franek mógł już bezpieczniej rzucić jej krótkie zdanie:

— Pomogę pani uciec. Abramek żyje.

Otworzył szerzej okno wychodzące na dach komórki i zaczął nastuchiwać. Warta była po tamtej stronie. Pomógł Żydówce przedostać się na zewnątrz i oboje przywarli do desek osłaniających zabudowanie. Ciężkie kroki żołnierskie zbliżały się ku nim. Słychać było rozmowę. — Dwóch — pomyślał Franek. Jeden ze strażników opowiadał jakiś dowcip, a drugi zanosił się od śmiechu. Gdy oddalili się znowu, chłopiec ześliznął się na podwórce i Goldbergowa z trudem podążyła za nim. Teraz blińk przejść między komórkami i otwór w parkanie.

— Powinno się udać — szepnęła Franek. — W razie czego niech pani pędzi ku kościołowi i przez okno do podziemi!

— Ny, ja już w nich byłam i nie przyniosły mi szczęścia...

— Jak będzie dobrze, ukryję panią w naszym mieszkaniu.

Stali pod parkaniem. Franek wymacał ruchomą deskę. W odpowiednim momencie wysunęli się na zewnątrz i znaleźli się w pobliżu starych jatek.

I nagle ni stąd ni z owad w zakamarkach jatkowych poruszył się maleńki kształt spłoszony przez nadchodzących ludzi i odbiegawszy kilka kroków zaczął na nich zajadle szczeekać. Rozległ się krzyk wartowni-
ków:

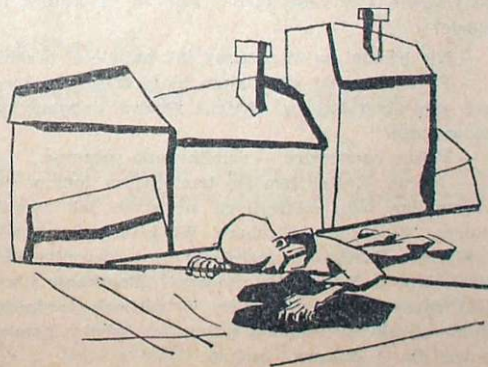
— Wer da? Wer da? Halt!

— Niech pani ucieka! — szepnęła Franek, sam również zbierając nogi. Jeden z żołnierzy biegł od ulicy w stronę jatek warząc groźnie:

— Halt! Halt, zum Teufel!

Goldbergowa pędziła mimo swej czterdziestki, jakby jej kto skrzydła przypiął. Franek biegł za nią. I nagle w ich kierunku padł strzał. Kula gwizdnęła przelatując obok. Znowu strzał i jeszcze.

Ostry ból przeszył nagle plecy chłopca, który upadł na ziemię.



Zdażył jeszcze krzyknąć: — Pędź, pędź! Pani jest matką! — I przy ostatnim wyrazie ogarnęła go nagle jasność niezmierna a za chwilę mrok nieskończony.

Kazimierz Andrzej Jaworski

PROFILE LUBELSKICH TWÓRCÓW

Prof. dr Leon Halban

W roku bieżącym przypada trzydziesta rocznica habilitacji profesora UMCS dr. nauk prawnych Leona Halbana.

Jubilata odwiedzamy w jego mieszkaniu, w gmachu Wydziału Prawa.

— Pan profesor pozwoli, najpierw kilka pytań z ankiety personalnej.



— Ankieta ma ulec radykalnym cięciom. A więc lakonicznie: urodziłem się w 1893 roku. Ojciec mój, Alfred Halban, był podówczas docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, następnie zaś profesorem uniwersytetu w Czerniowcach, a od roku 1905 — uniwersytetu we Lwowie. Czy rubryka o krewnych za granicą też będzie?

— Nie będzie. Za to prosimy jak najwięcej o sobie.

— Po ukończeniu gimnazjum klasycznego we Lwowie zapisałem się na Wydział Prawa uniwersytetu lwowskiego.

— Można powiedzieć — zamiłowania rodzinne...

— Można. Kształciłem się tam między innymi pod kierunkiem tak znakomych uczonych jak Oswald Balzer, Władysław Abraham, Władysław Semkowicz i Mojżesz Schorr, uczestnicząc w ich seminariach. Napisałem w tym czasie pracę pt. „Powstanie i rozwój zapowiedzi małżeńskich w wiekach średnich“, która wyszła w kilka lat później w księdze pamiątkowej dla O. Balzera i osobno.

Druga z napisanych wówczas przeze mnie prac seminaryjnych, o ustroju Rady Miejskiej Lwowa w XV wieku, zakwalifikowana również do druku, zaginęła w czasie działań wojennych 1914 — 1918 r.

Na wiosnę 1913 roku, po złożeniu egzaminu z his-

torii prawa, udałem się na kilkumiesięczne studia do uniwersytetu w Grenoble...

— A więc „la douce France“?

— Tak, „słodka Francja“. Głównie w celu doskonalenia się w języku francuskim. Od końca września tego roku byłem znów we Lwowie, by z kolei udać się na dwuletnie studia do Wiednia. Uczestniczyłem tam w seminariach znanego kanonisty prof. Hussarka, historyków — Hartmanna i Grünberga oraz historyka prawa rzymskiego i socjologa — Eugeniusza Ehrlicha. Po powrocie z uniwersytetu wiedeńskiego doktoryzowałem się we Lwowie w roku 1916. W tym samym roku na polecenie kierownictwa Naczelnego Komitetu Narodowego przeszedłem wraz z szeregiem innych młodych Polaków do pracy w Zarządzie Cywilnym okupacji austriackiej do Lublina, gdzie kontynuowałem ścisłą współpracę z ruchem niepodległościowym, m. in. od stycznia 1916 roku w biurze prezydzialnym N.K.N.

— Pierwszy bezpośredni kontakt pana profesora z Lublinem?

— Tak. Pozostałem tu aż do końca wojny. Po powstaniu państwa polskiego zostałem powołany do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, gdzie brałem udział w opracowaniu szeregu międzynarodowych konwencji emigracyjnych. Następnie przez kilka lat pełniłem funkcję sekretarza generalnego państwowego Banku Budowlanego, a później sekretarza generalnego Komitetu Banków Państwowych.

— Czy obok tak żywej działalności praktycznej pracował pan profesor w tym czasie na polu naukowym?

— Oczywiście. Dowodem tego, że w czerwcu 1926 na podstawie pracy pt. „Lichwa w nauce i prawie kościelnym“ — otrzymałem habilitację jako docent prawa kościelnego na uniwersytecie we Lwowie.

— Czerwiec 1926... Równo trzydzieści lat temu. Jubileusz.

— Jubileusz — uśmiecha się prof. Halban — ze słowem tym kojarzy mi się zawsze znany wiersz Boya. Ale snują dalej wspomnienia. Profesorem tytularnym zostałem mianowany w 1932, a profesorem nadzwyczajnym — w 1936 roku.

— Zdaje się, że w tym okresie rozpoczyna pan profesor kampanię przeciw hitleryzmowi?

— Jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, od 1932 roku rozpocząłem szeroką akcję propagandową przeciw narodowemu socjalizmowi. Organizowałem w różnych ośrodkach kraju liczne wykłady, opublikowałem szereg prac naukowych (najobszerniejsza — „Religia w Trzeciej Rzeszy“ — przeszło 400 stron), w których przedstawiałem genezę i istotę narodowego socjalizmu. Działalność moja spotkała się z licznymi atakami ze strony niemieckich naukowców, symp-

tyków Hitlera, takich jak Hans Koch — dyrektor naczelny Ostinstitutu, jak Georg Cleinow — profesor uniwersytetu berlińskiego i inni, z drugiej zaś strony — z uznaniem w sferach naukowych austriackich i postępowych kołach polskich. Jawne niezadowolenie okazywały mi natomiast osoby z obozu sanacyjnego, np. Beck.

— Wybuch drugiej wojny światowej zastaje pana profesora we Lwowie?

— We Lwowie. W roku 1940 ciężko zachorowałem, co uniemożliwiło mi objęcie proponowanej posady na uniwersytecie im. Iwana Franki. Od czasu wtrągnięcia do Lwowa hitlerowców aż do wyzwolenia poszukiwany przez gestapo i zwolna przychodzący do zdrowia musiałem się ukrywać. W listopadzie 1944 roku powołany zostałem na tworzący się Wydział Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie też po przyjęździe do Lublina w lutym 1945 roku objąłem katedrę Prawa Publicznego Kościelnego, źródeł i metodologii oraz katedrę Historii Prawa na Zachodzie Europy, przekształconą w rok później na katedrę Powszechnej Historii Ustroju Państw i Prawa. W kwietniu 1949 roku zostałem wybrany dziekanem Wydziału Prawa na KUL, we wrześniu zaś tegoż roku wobec utworzenia Wydziału Prawa na UMCS — przyjąłem propozycję objęcia katedry Powszechnej Historii Ustrojów i Prawa na tym uniwersytecie. W kwietniu 1950 roku przychodzi nominacja na profesora zwyczajnego, a w 1953 roku zawiadomiono mnie o przyznaniu mi stopnia Doktora Nauk Prawnych.

— A teraz co do bibliografii prac naukowych pana profesora...

— Napisałem kilkadziesiąt prac, większych i mniejszych. Niestety, nie prowadziłem dokładnej bibliografii i trudno jest ustalić dokładną cyfrę. Do przedwojennych nie będę wracał, wspominałem już kilka tytułów. Po wojnie napisałem między innymi: „Znaczenie zwyczajów prawnych i ich badanie“, „Religia

starogermańska i jej aktualne znaczenie“, „O potrzebie badań etno-socjologicznych nad religijnością“ oraz „Istota narodowego socjalizmu i jej aktualne wydzźwięki“. Ta ostatnia, duża praca, przyjęta została przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. Prócz tego napisałem cały szereg artykułów o charakterze popularyzacyjnym, referatów i recenzji. W 1948 roku zostałem wybrany do Zarządu Głównego Commission Internationale des Arts et Traditions Populaires w Paryżu, w latach 1946 — 51 byłem wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i przewodniczącym komitetu wykonawczego Towarzystwa, obecnie od szeregu lat jestem prezesem oddziału lubelskiego Polskiego Towarzystwa Historycznego.

— Dużo uwagi poświęca pan profesor jak zwykle pracy społecznej...

— W latach 1945 — 49 byłem prezesem koła mieszcowskiego „Czytelnika“, a następnie przez 5 lat — przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Imprez Artystycznych i Obchodów. Tuż po wyzwoleniu byłem organizatorem opieki zdrowotnej nad młodzieżą akademicką ośrodka lubelskiego. Sprawa opieki nad młodzieżą leżała mi zresztą na sercu już przed wojną. Od szeregu lat jestem przewodniczącym Komisji Senackiej UMCS do spraw młodzieży. Jestem również członkiem Zarządu Głównego Caritas.

— Jakie są plany pana profesora na najbliższą przyszłość?

— W dziedzinie pracy naukowej — studia nad problematyką historyczną stosunku państwa i wyznań. To zresztą interesuje mnie od dawna i z tego zakresu wydałem już przed wojną szereg większych i mniejszych prac.

— Dziękujemy panu profesorowi. Nasza „ankieta personalna“ więcej rubryk nie zawiera.

C. W.

Eugeniusz Gołębiowski

„PASOŻYT“ NA SCENIE TEATRU IM. OSTERWY

Głównym bohaterem komedii pt. „Sztuka zdobywania szczęścia czyli Pasożyt“ L. B. Picarda — w adaptacji Fryderyka Schillera i przekładzie W. Markowskiej — jest pan Selicour, wyższy urzędnik jednego z francuskich ministrów za czasów dyrektoriatu.

Człowiek to giętki, czołobitny wobec swego zwierzchnika ministra Narbonne, brak wykształcenia zastępuje chytrą, szermuje kłamstwem i intrygą, stroi się w cudze piórka, gardzi własną (chłopską) rodziną, w celach osobistych zwalnia z pracy podwładnego, sięga po wysokie godności i po rękę córki ministra. Selicour ma dużo możliwości. Republika tworzy dopiero swój aparat urzędowy,

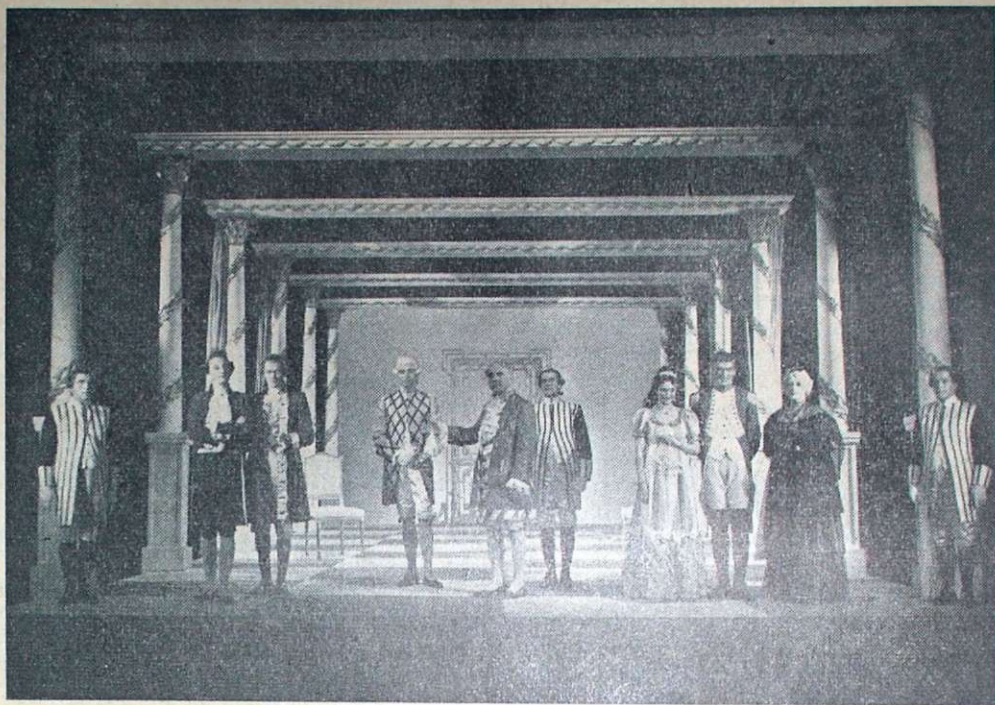
republikańskie kryteria moralne są jeszcze płynne, łatwo więc pasożytować na młodym organizmie.

Minister Narbonne, naiwny pocziwiec, daje się opłacać przez chyrego urzędnika, natomiast La Roche, ów urzędnik bezpodstawnie zwolniony z pracy — ocenia go właściwie i rozpoczyna z nim zażarty bój o prawdę.

Trzeci urzędnik ministerstwa, pan Firmin, człowiek zdolny i wykształcony, w skromności swej trzyma się na uboczu, ale w momencie rozstrzygającym, mimo niebezpieczeństwa, umie dać świadectwo prawdzie.

Madame Belmont, matka ministra, pragnie ucho-
dzić za znawczynię sztuki, „brylować“ w salonie.
Robineau, poczciwy chłopak, syn sędziego i gru-
bej Madelon, przybywa do Paryża po protekcję
u kuzyna, którym jest właśnie pan Selicour. Para
kochanków, Karol Firmin i Charlotta, córka pana

by komedii na prawach kontrastu, z początku La
Roche jest osamotniony, a Selicour ma poparcie
z kilku stron. W toku akcji następuje przegrupo-
wanie sił, a w finale wszyscy z ministrem na czele
stają po stronie La Roche'a. Kontrast rządzi także
współczynnikami moralnymi konfliktu: niegodzi-



Scena z aktu 5. Na zdjęciu: Stanisław Olejarnik, Juliusz Dziemski, Sławomir Litwiński, Stanisław
Tylczyński, Tadeusz Markowski, Teresa Lassota, Stanisław Mikulski, Maria Wojdalińska.

Narbonne, przeżywają miłość sentymentalną w at-
mosferze muzyki, poezji i ministerialnych intryg.

Kamedyner i lokaje zamykają krąg postaci róż-
norodnych i wyrazistych, kojarząc się jednocześnie
z tłem pałacu ministerialnego. Są jakby żywą de-
koracją.

Owo tło pałacowe, sentymentalna miłość mło-
dych i niektóre realia komedii lokalizują ją
w ostatnich latach wieku 18-go, ale niegodziwy
urzędnik, poczciwy lecz naiwny dostojnik, snobizu-
jąca starsza dama, skromny i w cień usunięty pra-
cownik oraz zaciekły szermierz prawdy — to po-
staci żyjące dotąd wśród nas i im to zawdzięcza
stara zapomniana komedia swoją zaskakującą
aktualność.

Postaci swoje uruchomił autor zgodnie z drama-
turgią klasycystyczną. Na początku komedii mamy
dwie zapowiedzi: La Roche postanawia rozpocząć
walkę z Selicourem i zaczynają się perypetie mi-
łosne Karola Firmin. Z kolei następuje konflikt:
atak La Roche'a i obrona Selicoura, atak Selicoura
i obrona La Roche'a, jego zwycięstwo i rozwiąza-
nie akcji. W konflikcie uczestniczą wszystkie oso-

wie uchodzi za wzór cnoty, a szermierz prawdy
za niedowarzonego napastnika. Celowość kompo-
zycyjna panuje również w układzie wątku miłos-
nego, w jego logicznej zależności od wątku społecz-
nego.

A więc: wyrazistość i różnorodność postaci,
aktualność problematyki i przejrzysta budowa —
oto trzy główne wartości „Pasożyta“, a dodać tu
jeszcze należy walory sytuacji komediowych i dow-
cipu oraz poprawność przekładu.

Komedia ma także i braki — (konwencjonalne
skrót) — które ją niżej stawiają od sztuk wcze-
niejszego nieco Beaumarchais'go, ale na tle
ówczesnych „komedii łzawych“ (comédie larmoyan-
te) „Pasożyt“ zawsze będzie się wyróżniał celowością
myśli, a co najważniejsze: jako satyra na nikczem-
nych urzędników jest nam bliższa niż satyra Beau-
marchais'go na muzealny dziś „ancien régime“.

„Pasożyt“ otrzymał na scenie lubelskiej kształt
klasycystyczny zgodnie ze swym stylem. Scenogra-
fowie Lech i Michelle Zahorscy uwzględnili zasa-
dy tego stylu: umiar, wyrazistość linii, symetrię,
czystość koloru, perspektywiczne następstwo obra-

zów w jednolitym układzie przestrzennym itp. W zgodzie z tymi zasadami utrzymały się również kostiumy i subtelna melodia.

W tym samym kierunku poszła także i reżyseria Jana Kreczmara. Stanisław Tylczyński (Narbonne)



Kazimierz Iwiński i Stanisław Olejarnik

wykazał dużo umiaru w słowie i geście, wzbogacił dialog grą spojrzeń, ekonomicznie odmierzył swoje prawdziwie ministerialne ruchy i umiejętnie skojarzył naiwność z dostojnością. „Jest rzeczą uczciwą i chwalebna” — mówi Narbonne — bez lęku zwalczać zło, atakować bezlitośnie, ale z uporem trwać w nieuzasadnionej nienawiści — to wskazuje na zły charakter.“ Widz doskonale orientuje się, że oskarżenie to skierowane jest pod fałszywym adresem, ale tonacja tego uogólnienia, szczera i zarazem poważna, daje skutek niezawodny: komizm — i widz dopowiada sobie resztę: „Tak, panie Ministrze, pan umie bardzo dostojnie moralizować, ale pan nie wie, co się w pańskim ministerstwie dzieje”.

Maria Wojdalińska utrzymała żywotność Madame Belmont w granicach dopuszczalnych dla matki burżuazyjnego ministra i z nową świeżością odtworzyła ograny typ komicznej starszej damy. Teresa Lassota (Charlotta) lekko i z wdziękiem grała enotliwą pannę z dobrego — acz nie arystokratycznego — domu i w sposób naturalny dokonywała częstych i nagłych zmian tonacji słowa, a to szczególnie w tych wszystkich momentach, kiedy bezpośrednio i szczerze dziewczęca musiały ustępować posuślenstwu wobec ojca i babki. Rola Charlotty jest trudna, musi bowiem być grana podwójnie: spod konwencjonalnej ukladności dziewczęcej musi wycierać prawda uczuć, słowa muszą

klamać myślom. Teresa Lassota umiała to wyrazić dobrą mimiką.

Umiar w grze Juliusza Dziemskiego (Firmina) był wzorowy, jego twarz ożywiał szczerzy uśmiech dobrego człowieka a oczy żywo współdziałały ze słowem (co dzięki reżyserowi tak wyraźnie wystąpiło w grze całego zespołu).

Stanisławowi Mikulskiemu (Karolowi Firmin) brakło może nieco subtelności tak znamiennej dla kochanków jego epoki. Natomiast protesty jego przeciwko niesprawiedliwości zabrzmiały w całej pełni. (Np kwestia „Tak, w tym nędznym kraju niszczy się talenta. W tym kraju prawdziwa uczciwość jest przestępstwem...”)

Stanisław Olejarnik (La Roche) miał trudne zadanie. Autor wyposażył charakter La Roche'a w bezkompromisowe poczucie sprawiedliwości, w nadwrażliwość i gwałtowny temperament. Stąd dynamika postaci a zarazem jej komizm, ale nie łatwo walczyć o dobrą sprawę, być pozytywnym bohaterem i co chwila wybuchać miotać się, grać mięśniami. Olejarnik sprostał zadaniu. Komizm nie służył idei La Roche'a Wątpliwości można tu mieć tylko co do kilku momentów (na przykład tam, gdzie mowa o obowiązku, sumieniu i miłości do kraju.)

Robineau (Stanisław Michalik) i scena z nim przypomina stare francuskie farces. Rzecz jasna: dziedziectwo to w teatrze francuskim dotąd jest ży-



Teresa Lassota i Stanisław Mikulski

we, ale warto się nad tym zastanowić, czy w farsowym ujęciu postaci Robineau nie posunięto się za daleko. Ruchy, jego mimika i sposób wypowiadania niektórych kwestii zdają się czynić zeń nie-dojdę, a przecie ów syn sędziego i grubego Made-

lon jest mądrzejszy od ministra i z tymże to Robineau wiąże się tytuł komedii: „Sztuka zdobywania szczęścia“. On najlepiej ocenia Selicoura: „Kiedy kuzyn był jeszcze młody, to był dopiero szelma, już wtedy wiedzieliśmy, że nie przepadnie, że zrobi majątek.“

Kazimierz Iwiński (Selicour) z dużą swobodą zmieniał swoje maski, z drapieżcy przeistaczał się

w jagnię, z gruboskórnego dryblasa w układowego dyplomatę i jako postać główna komedii w dobrym utrzymywał ją tempie.

Widownia przyjęła widowisko z dużym aplauzem, a najgoręcej były oklaskiwane te momenty, które kojarzą się z naszą współczesnością.

Eugeniusz Gołębiowski

W TEATRZE MUZYCZNYM — „ROSE MARIE“



Na zdjęciu: Stanisława Radulska, Aleksander Sozański i Henryk Rudzki
Działalność Teatru Muzycznego omówimy w następnym numerze.

W KRĘGU CYFR I ANKIETY

(O działalności Towarzystwa Wiedzy Powszechnej)

Nie wolno sugerować się magią liczb: około 5000 odczytów rocznie, plan wykonany w 103%, 238 prelegentów w Lublinie... Pracuje 10 sekcji (pedagogiczna, astronomiczna, geograficzno-geologiczna, historyczno-literacka, biologiczna, fizyczno-techniczna, rolna, lekarska, zagadnień międzynarodowych, polityki wewnętrznej) — czyli więcej, niż przy Zarządzie Głównym w Warszawie, który posiada 8 sekcji. W Dniach Oświaty, Książki i Prasy wygłoszonych zostanie 250 odczytów o tematyce historyczno-literackiej i pedago-

gicznej. W takich wypadkach mimo woli budzi się pewna wątpliwość: co się za tymi liczbami ukrywa?

Imponuje jednak następna wiadomość: lubelskie Towarzystwo Wiedzy Powszechnej przoduje w skali krajowej w tzw. „upogładowieniu“ odczytów. Po usłyszeniu tej informacji poczułem „regionalną“ dumę — to jest powód do pewnego optymizmu. TWP doprowadziło do ilustrowania pokazami, filmem czy przezroczkami 94% prelekcji.

Kiedy zapytałem o trudności, jakie napotyka w swej pracy TWP, dr Zygmunt Bownik na pierwszy plan

wysunął sprawy lokalowe. Rzeczywiście, do tej pory Towarzystwo mieści się, czy raczej „gnieździ się”, w czterech ponurych pokojach oficyn przy Krakowskim Przedmieściu 36. Obecnie w stadium remontu jest budynek przy ul. Waryńskiego, jednakże brak funduszy na pokrycie wszystkich związanych z tym remontem kosztów. Bardzo dotkliwie daje się odczuć brak odpowiedniej, dużej sali odczytowej dla wyłącznego użytkowania przez Towarzystwo. W sali takiej odbywałyby się nie tylko odczyty dla mieszkańców Lublina, ale przede wszystkim narady, odprawy i dyskusje aktywu.

Momentem obniżającym pracę Towarzystwa Wiedzy Powszechnej jest karygodne niejednokrotnie lekceważenie pracy przygotowawczej przez organizatorów w terenie. Prelegenci czasem mówić muszą do kilkunastu czy kilku zaledwie osób. Zdarza się, że delegacja ich jest potwierdzona mimo nieodbytego odczytu.

Prelekcje powinny być właściwie mówione, na co zwraca się coraz większą uwagę, jednak często się jeszcze zdarza, że są czytane, i to źle czytane, bezpośrednio zaś po odczycie prelegent „ulatnia się”, by uniknąć odpowiedzi na pytania. Wybieg ten podyktowany jest zapewne — nie pośpiechem — ale słabym przygotowaniem się, albo w ogóle brakiem odpowiednich kwalifikacji prelegenta, który pełni przecież odpowiedzialną funkcję upowszechniania wiedzy.

Praca w sekcjach prowadzona jest również nieodpowiednio. Brak niemal zupełnie planowania i sprawozdawczości. Rozumiemy, że w okresie dziesięciolecia obrzydły nam pewne przerosty tych dziedzin, ale nikt nie zaprzeczy konieczności rozsądnego planowania i pozostawiania śladów swych osiągnięć.

Swoistego rodzaju ocenę i krytykę działalności TWP stanowi ankieta wypełniana przez słuchaczy. Mimo, że z wyników ankiety nie można wyciągnąć kategorycznych wniosków, gdyż wiemy, jak ostrożnie i z jaką nieufnością podchodzą ludzie — szczególnie mniej wykształceni — do wszelkich spraw załatwianych „na piśmie”, jednakowoż wypowiedzi ich bywają ciekawe i pouczające. Za przykład, jak schematycznie nauczyliśmy ludzi patrzeć na życie i jak głębokie piętno wycisnęły na nich wszelkie wielostronicowe ankiety personalne, niech posłuży wypowiedź dwudziestoletniego robotnika:

Pytanie: Czy jakiś odczyt zachęcił mnie do czytania książek?

Odpowiedź: Budownictwo w planie 6-letnim oraz o odbudowie Warszawy.

Pytanie: Na jakie odczyty chętnie uczęszczałbym i dlaczego?

Odpowiedź: Budownictwo i rozwój przemysłu w kraju, Nowa Huta, przemysł na Śląsku, budowa Stoczni na możu (!) i kronika sportowa (?).

Napisane jak trzeba — prawda? Nonsens za nonsensem... a nuż dopomoże do awansu lub co najmniej utrwali dobrą opinię budowniczego Polski socjali-

stycznej. Czyżby ten chłopak — zastanawiam się — nie miał żadnych innych zainteresowań? Trzeba przyznać, że na szczęście tego rodzaju wypełnianie ankiet nie jest zjawiskiem typowym. W większości wypadków wypowiadający się stwierdzają swym niewyroblonym, trudnym piśmem, że prelekcje zachęcają do czytania książek. Znajdujemy jedną ciekawą wypowiedź: „raczej książki zachęciły mnie do uczęszczania na odczyty TWP”. Czy racja — jak często bywa — nie znajduje się w przyszłowiowym środku? Zastanawia również notatka jednego z robotników PGR: „Dlatego, że mam mało czasu na czytanie książek, chętnie słucham waszych odczytów”. Ta uwaga powinna dać szczególnie dużo do myślenia kierownictwu TWP.

Największe zapotrzebowanie jest na odczyty o tematyce literackiej, o zagadnieniach światopoglądowych, nowoczesnej fizyki, astronomii i astronautyki oraz na odczyty, które — jak najczęściej piszą uczestnicy ankiety — „poszerzają wiadomości zawodowe”. Znajdziemy niejedno szczere wyrzucenie „samokrytyczne”: „Gdyby robotnik dużo czytał, przestałby być ciemnym” lub „Trochę nie rozumiałam, bo za mało mam wiedzy podstawowej”. Niejednokrotnie spotykamy ciekawe i „zaczepne” uwagi. Uczeń szkoły podstawowej pisze: „Prelegentka niejasno wytłumaczyła o powstawaniu życia na ziemi. Nie rozumiałam, jak powstaje życie z białka i czy teraz będzie możliwe chemicznie stworzyć z białka życie”.

Jest to jeszcze jeden przyczynek do sprawy, którą zajmowałem się na początku: odpowiednich kwalifikacji prelegenta.

Warto zacytować szczerą i charakterystyczną wypowiedź chłopca na marginesie prelekcji o zabobonach: „Wszystko rozumiałem o źródłach zabobonów, lecz wierzę, że nikt nie potrafi, tj. żaden lekarz wyleczy różę prócz baby zamawiaczki. Z odczytu rozumiałem, że każdy robotnik w Polsce Ludowej otoczony jest opieką ze strony państwa. Gazety czytam, do biblioteki też się zapiszę. Odczyt zachęcił mnie do przeczytania „Dziurdziów”. Przeglądając ankiety napotkałem uwagę: „Odczyt ciekawy i przeprowadzony dowcipnie — zachęca do czytania książek Żeromskiego”.

Może nie każdy potrafi mówić dowcipnie, ale... kierujemy do TWP apel, aby stanowczo od prelegentów swych wymagało mówienia, a nie czytania, gdyż czytanie nuży przede wszystkim tych mało zaawansowanych kulturalnie słuchaczy, a o nich Towarzystwu może najbardziej chodzi.

Dotknąć należy jeszcze jednej, drażliwej sprawy. Wydaje się, akcje TWP traktowane są zbyt komercyjnie. Być może, iż stawki są za niskie, ale sumienne wypełnienie przyjętych na siebie obowiązków — to już sfera moralnej odpowiedzialności prelegentów.

Zdajemy sobie sprawę, że zbyt mało współpracują z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej domy kultury, ZSCH, ZMP, Liga Kobiet — wydaje się jednak słuszny wniosek, by ożywienie pracy zaczęło się od pewnych reform wewnątrz samego Towarzystwa.

Zbigniew Stepek

Z P O E Z J I

Wojciech Kielczewski

MOZART

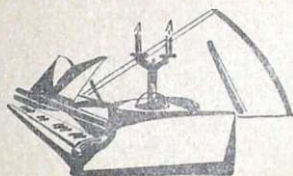
Na klawiaturze bruku Requiem grają koła
wiodąc ciało w DOM spoczynku nędzy,
nikt za Nim nie idzie, nikt nie żegna ciała:
— O Mozarcie! czemu nie grasz więcej!

Nikt po Nim nie płacze, tylko drzewa
chylą się przed Jego majestatem,
tylko deszcz, deszcz z kropielnicy nieba
kropi trunnę — rozsłochany wiatrem.

— — — — —
Pozostały po Nim tylko znaki
zapisane myślą ściekłą w pióro,
zblakłe nuty — krople — łyzy muzyki,
pięciolinie — zawodzące chórem.

Pozostały melodie śpiewane
przez promienie słoneczne, przez burze...
pozostała w ziemi mroczna jama,
...i ta pamięć nie okryta kurzem.

Wojciech Kielczewski



Eugeniusz Kazimierz Steszuk

* * *

Snuć miłość
— jak pająk pajęczynę,
miłość człowieczą,
nalewać w kielichy ludzkich serc
— jak wino,
to wielka rzecz
— rzecz poety.

Wiersz nie wiatr, nie przydrożne drzewo,
wiele trzeba słów, aby się rozśpiewał...

Wiersz — miła moja — nie bzy,
nie liść pożółkły na dębie:
czasem — wyciska z oczu łzy,
czasem jest chlebem...

Eugeniusz Kazimierz Steszuk

M Ł O D Y C H

Jerzy Księżki

NIEBIESKI PŁOMIEŃ

Może to było na bulwarach Paryża;
A może na Newskim Prospekcie?
Wszystko jedno. Zmierzch się zbliża
I tęsknota jak cień się wlecze.
A może to gdzieś bliżej. Na Krakowskim Przedmieściu?
Eh, wlecze się ten smutek we mgłę i deszczu.

*

Gdzie jesteś?
Wiatr ulicami się płacze
Przestrzeń pijany.
Idę przez wiatr jak w gorączce;
Przed oczyma kolorowe plamy
Zaraz, zaraz... Skąd
Płomień niebieski pod powiekami...
Szept jak z budki suflera —
To wiatr delikatnie szeleści
Mgłą i liśćmi.
Przechodziłem tą drogą nieraz,
Może cię wreszcie
Wypatrzę w tej nocy...

W tym mieście,
Bolą oczy...
Tak mgliście —

*

Często przychodzisz do mnie,
Kładziesz na czole dłońie
I mówisz: — Nie zapomnij —
Nie zapomnę o tobie.
Jesteś daleko,
Za górą i rzeką
Rozstania.
Daleko...

*

Odpocząć daj
Zmęczonym powiekom,
Jutro nie będzie
Tęsknoty,
Ni mgły, ni cienia,
Więc dość —
Do widzenia.

Jerzy Księżki

KOŁO MŁODYCH ZLP PRZED WAKACYJNĄ PRZERWĄ

Ważnym wydarzeniem w ostatnim okresie działalności Koła Młodych przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich było ogłoszenie rekrutacyjnego konkursu literackiego.

7 czerwca br. zebrało się jury złożone z członków ZLP — Anny Jakubiszyn i Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, przedstawiciela Zarządu Wojewódzkiego ZMP — kol. Adolfa Belniaka oraz przedstawicieli Koła Młodych — kol. kol. Janusza Danielaka, Sławomira Sobockiego, Zbigniewa Stepka i Janusza Tchórzewskiego.

Po dyskusji jury jednogłośnie postanowiło nagród pierwszych nie przyznawać.

Nagrody otrzymali: w dziale prozy — II Wojciech Górny za opowiadanie pt.: „Krzyk“, III Władysław Stróżewski za prozę pt.: „Chwile“.

W dziale poezji: dwie drugie nagrody — Zbigniew Stawecki i Józef Wiesław Zięba, trzy trzecie nagrody — Elżbieta Cichła, Piotr Kuncewicz i Stanisław Weremczuk (wszyscy z Lublina).

Wyróżnienia otrzymali: w dziale prozy — Józef Wiesław Zięba za opowiadanie pt.: „Witraż“, Stani-

slaw Weremczuk za obrazek sceniczny „Powrót“, E. Smutna (z Chełma) za utwór dramatyczny „To samoluby“ oraz Zbigniew Szloch za publicystykę. W dziale poezji — Jerzy Łabęcki, Marian Makarski i Mieczysław Pulik (Międzyrzec Podlaski).

Uroczyste wręczenie nagród (w formie książek i talonów książkowych) ufundowanych przez Zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP oraz Zarząd Wojewódzki ZMP, odbyło się w Klubie ZZPK i ST dnia 14 czerwca, po czym nagrodzeni i wyróżnieni czytali swoje utwory.

Dnia 18 czerwca odbyło się ostatnie w tym roku zebranie Koła Młodych. Na zebranie to przybyli redaktorzy „Kamery“ Maria Bechczyz-Rudnicka i Kazimierz Andrzej Jaworski oraz Feliks Araszkiewicz i Anna Jakubiszyn.

Podczas zebrania, przy czarnej kawie, czytano i omawiano twórczość młodych. To ostatnie zebranie w poszerzonym składzie (Koło Młodych liczyło 13 — po konkursie liczy 21 osób) rokuje na okres powakacyjny dalszy wzrost aktywności lubelskiego ośrodka młodych adeptów pióra.

Z. S.

Z KOŁA MŁODYCH PLASTYKÓW



Tytus Dzieduszycki — *Samolot*

Warsztatowa Wystawa Koła Młodych Plastyków otwarta w Klubie ZZPK i ST dała nam przegląd osiągnięć i możliwości młodzieży plastycznej Lublina. Ta niedawno, bo dopiero od wiosennej wystawy Plastyków-Amatorów powstała grupa, stała się interesującym środowiskiem. Prace młodych plastyków umieszczone na lubelskiej Wystawie Amatorów wywołały zainteresowanie tą grupą wśród krytyków pism centralnych, jak „Przegląd Artystyczny” i „Po prostu”.

Mimo iż tak krótki termin minął od zawiązania Koła Młodych Plastyków, zdobyli się oni na wysiłek zorganizowania wystawy ilustrującej poszukiwania grupy i poszczególnych artystów. Zarówno prace umieszczone na Wystawie Amatorów, jak i większość zaprezentowanych na obecnej wystawie, mówią o dążeniu do nowoczesnych form wyrazu.

Na czoło wybijają się, naszym zdaniem, nazwiska St. Michalczuka, J. Tarłowskiego i M. Sadleja. Michalczuk reprezentuje typ malarstwa koncepcyjnego, wzbogaconego dużą inwencją malarską tym ciekawiej się przejawiającą, że strona kolorystyczna jego kompozycji rozwiązana jest monochromatycznie. Cechuje go poza tym zmonumentalizowanie formy. W kontekście z poprzednią wystawą należy podkreślić, że charakter odtwórczy niezwykle biegłych technicznie grafik Tarłowskiego zastąpiony został udanymi próbami syntezy i koncepcji malarskiej. Bardzo interesujące rozwiązania kolorystyczne cyklu

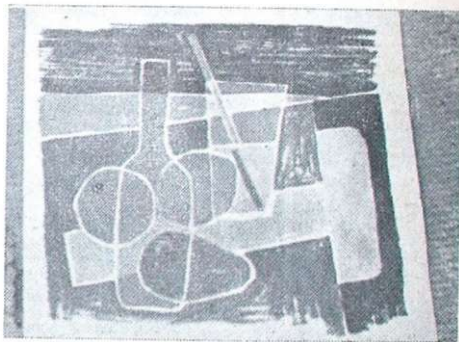
martwych natur są nowością w twórczości tego artysty. Cykl rysunków architektonicznych Sadleja wykazuje największą dojrzałość techniczną i warsztatową. Jest on przykładem powstawania i rozwijania się koncepcji formalnej na temat jednego motywu.

Najdalej w poszukiwaniach nowoczesnej formy poszedł debiutant W. Borowski w swojej interesującej kompozycji abstrakcyjnej. Ekspresyjny charakter i temperament malarski cechują prace T. Dzieduszyckiego. Mimo braków technicznych jest to duży krok naprzód w kierunku wytworzenia własnego stylu.

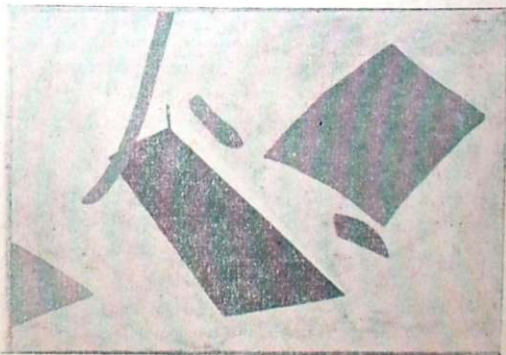
Z innych prac wybijają się: „Martwa natura” Kurzałkowskiego o ciekawym ujęciu kolorystycznym oraz „Pejzaż z psią czaszką” Komendeckiego, którego prace wzbudziły tak duże zainteresowanie na Wystawie Amatorów.

Wystawa Warsztatowa KMP rokuje nadzieję, że przyszła Wystawa Jesienna nie przyniesie nam zawodu. Jej charakter reprezentacyjny pozwoli na obejrzenie prac olejnych młodych plastyków i dopełni całokształt obrazu ich twórczości. Na uwagę zasługuje fakt, że KMP pracuje teoretycznie nad zagadnieniem plastyki w ramach Sekcji Plastycznej Klubu Młodej Inteligencji.

MM i HP



Krzysztof Kurzałkowski — *Kompozycja*



Włodzimierz Borowski — *Kompozycja*

CZY „KAMENA“ MOŻE BYĆ KAMENĄ?

Są momenty, kiedy patos staje się cyniczny nie do zniesienia. Taki właśnie moment mamy obecnie: bezpośrednia bliskość krwawego czwartku poznańskiego każe nam oszczędzać słowa, a usprawiać czyny. Zbyt tragiczny był to nonsens, aby wolno było skwitować go „dretwą mową“. I choćby się tysiące razy powiedziało — prowokacja, nie mniej prawdziwy pozostanie fakt, że samo społeczeństwo przyczyniło się wydatnie do wytworzenia dla niej podatnego gruntu, ponieważ niezadowolające warunki materialne, w jakich żyją ludzie pracy, są niewątpliwie wynikiem sumy niedociągnięć, błędów i nadużyć każdego z nas, — rezultatem t a n d e t n e g o s t o s u n k u d o o b o w i ą z k ó w o b y w a t e l a . Powiedzmy sobie otwarcie: partactwem uprawianym na wielką skalę wplataliśmy siebie sami przez dwanaście lat w błędne koło, które możemy przełamać jedynie wówczas, gdy zlikwidujemy ten groźny współczynnik „kultu jednostki“. Nauka, nabyta za jakże wysoką cenę, brzmi: działać solidarniej, pracować uczciwiej, — mniej egoizmu i dorobkiewiczostwa, więcej zmysłu społecznego.

Każdy więc musi dziś przemyśleć konkretne możliwości naprawy dla odcinka, na którym błądził. Zróbmy to w odniesieniu do „Kamena“.

Na początku było w niej prawie wyłącznie słowo poetyckie, w myśl intencji założyciela, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Czytelnika ciekawego „prehistorii“ „Kamena“ odsyłam do interesujących wspomnień KAJ-a w Nr 5—7 z ub. r. Napomknęłam tutaj o międzywojennej postaci pisma tylko po to, by stwierdzić, że z chwilą, kiedy stało się ono organem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, tj. w r. 1952, dawna koncepcja kwartalnika poetyckiego traci naturalne uzasadnienie. „Kamena“ zaczęła wprowadzać na swoje łamy obok spraw literackich również zagadnienia społeczno-kulturalne.

Ci, co śledzili rozwój pisma od jesieni 52 r., znają dobrze jego wady, zmniejszające się wprawdzie z biegiem czasu, lecz dotychczas w pełni jeszcze nie wykorzenione. Są nimi przede wszystkim: zbyt mała ofensywność, niedostateczne zgłębianie problematyki terenowej, nikły udział w dyskusjach ogólnopolskich, no i ten powolny nurt. Z poziomem formalnym zamieszczanych prac też bywa różnie — często-kroć nienajlepiej. Te zasadnicze braki, początkowo pochodzące w głównej mierze z niesprecyzowania koncepcji redakcyjnej, obecnie po-

kutują jeszcze raczej wskutek słabości aktywu pisarskiego, jakim dysponuje „Kamena“. Wydaje mi się, że dokonywany jest stopniowo proces decentralizacji inicjatywy organizacyjnej w dziedzinie kultury i związanej z nim wybitne ożywienie się życia kulturalnego pod wpływem działających już z powodzeniem klubów przyczynią się w dużym stopniu do uczynienia z „Kamena“ pisma społeczno-literackiego bliskiego lubelskiej inteligencji, a zwłaszcza młodzieży twórczej, z którą zresztą związało się już ściśle od stycznia br.

Horoskopy te mają pokrycie w zdrowym klimacie dyskusji toczącej się przed niewielu dniami w Klubie Stowarzyszeń Twórczych. Była to właściwie może mniej dyskusja niż życzliwa narada — życzliwa nie w sensie źle pojętej „kurtuazji“. Wzięli w niej udział, obok przedstawicieli partii oraz PWRN, literaci, dziennikarze, profesorowie wyższych uczelni, studenci i sporo innych czytelników. Zespołowa analiza mankamentów „Kamena“, dokonana w czasie tych poważnych obrad, nie tylko potwierdziła diagnozę postawioną przez samą redakcję i słuszność postulatów sformułowanych przez nią już w Nr 1—2 z r. ub., ale dowiodła tak głębokiego zainteresowania inteligencji Lublina losami jego pisma literackiego, że powiększenie liczby piór współpracujących z „Kamena“ staje się już chyba sprawą zupełnie realną.

Jakie są warunki popularyzacji „Kamena“ wśród nauczycielstwa, działaczy kulturalnych i innych przedstawicieli inteligencji na terenie całej ziemi lubelskiej? Oto pierwszy z nich: „Kamena“ powinna być komunikatywna, a zarazem nie symplicystyczna. Musi ona w oparciu o tematykę ogólnopolską „trafiac w konkrety“ Lubelszczyzny. Bojowość jej powinna polegać na samodzielnym wysuwaniu nowych problemów, na przejściu inicjatywy polityki kulturalnej województwa, a także na dyskusyjnym nawiązywaniu do polemik ogólnokrajowych prowadzonych w centralnych czasopismach literackich. Poza tym, rzecz jasna, określenie: miesięcznik „społeczno-literacki“ — obliguje do takiej selekcji zamieszczanych w nim prac, by niezależnie od gatunku twórczości, jaki reprezentują (nowela, esej, reportaż, artykuł itd.), miały odkrywczą formę literacką.

Te słuszne zdania przewijały się przez wypowiedzi większości osób biorących udział w dyskusji.

Od dłuższego już czasu Oddział Lubelski Związku Literatów stara się w Prezydium Rady

Ministrów o przekształcenie „Kamenu” w dwutygodnik. Starania te otrzymały obecnie mocne poparcie w lubelskiej opinii publicznej, która znalazła wyraz w wypowiedziach licznych zwolenników bardziej częstotliwego ukazywania się czasopisma. Jako miesięcznik, nie nadaje się ono za szybkim rozwojem wydarzeń kulturalnych. To opóźnienie się lubelskiego czasopisma literackiego zaczęło dawać się szczególnie we znaki w okresie nasilenia „odwilży”. Obecnie jesteśmy świadkami rzeczy pozornie paradoksalnej: im więcej „Kamena” „włącza się w nurt”, tym bardziej widoczna jest jej opieszałość. Nic dziwnego — tematy aktualne w momencie ustalania koncepcji numeru obiegają wszystkie inne pisma literackie w trakcie produkcji drukarskiej.

Zarówno dyskutanci, jak i sami redaktorzy, stwierdzili poza tym, że droga do wyższego poziomu „Kamenu” prowadzi poprzez 1) rozszerzenie kręgu jej autorów (do pewnego stopnia poza Lublin), 2) zwiększenie liczby pracowników redakcji, 3) uaktywnienie rozszerzonego Komitetu Redakcyjnego, który został już powołany w kwietniu i składa się z literatów, z przedstawicieli świata artystycznego, naukowego i prasy. Warto zaznaczyć, że zaledwie w trzy dni po omawianej naradzie redakcja zwołała kolejne zebranie tego 15-osobowego Komitetu celem przeprowadzenia dyskusji nad materiałami przeznaczonymi do niniejszego numeru. Następne posiedzenie odbędzie się pomiędzy 15 a 20 lipca. Współpraca Komitetu z Redakcją staje się coraz bardziej konkretna. Jeszcze większych rezultatów można będzie się spo-

dziewać po niej wówczas, gdy członkowie Komitetu wezmą indywidualny udział w pracach redakcyjnych zapoznając się z nimi bliżej i zgłaszając osobiste pomysły poza posiedzeniami.

Oczywiście dobry poziom „Kamenu”, surowsza selekcja jej treści z nastawieniem na lubelskiego adresata pozwoli zwiększyć nakład (a co zatem — obniżyć cenę egzemplarza). Nie ulega jednak wątpliwości, że rozpowszechnienie pisma zależy w dużej mierze także od pomysłowej propagandy (ankiety, konkursy, wieczory „Kamenu” na prowincji itp.). Niepoślednią rolę odegrałaby i bardziej atrakcyjna szata graficzna.

Jednym z najważniejszych postulatów wysuniętych na dyskusji w Klubie Stowarzyszeń Twórczych było wznowienie „Biblioteki Kamenu”. Zahamowanie przez CUW działalności tego wydawnictwa, mającego za sobą długoletnią tradycję, niewątpliwie krzywdzi Lublin, gdzie znajdzie się niemało wartościowych prac, które nie mogą utworować sobie drogi do wydawnictw centralnych.

Mocne zaangażowanie się intelektualne i uczuciowe społeczeństwa w sprawy naszego czasopisma stanowi o tym, że „Kamena” nie może być dzisiaj jedynie „okolicą poetów”, przybytkiem kamenu — muzy uczyczącej wyłącznie poetyckiego natchnienia, lecz powinna, jak stwierdziła większość dyskutantów — mieć charakter czasopisma społeczno-literackiego.

Maria Bechcyc-Rudnicka



O CZYM PISAŁA „KAMENA“ PRZED 20 LATY

Podwójny numer 28—29 za kwiecień—maj 1936 zawiera m. in. wiersze Anny Świrszczyńskiej, Tadeusza Bocheńskiego, Włodzimierza Słobodnika, Juliusza Wita, Jerzego Kamila Weintrauba, Jana Spiewaka, Waława Mrozowskiego, przekłady z poezji francuskiej Stefana Napierskiego, z poezji czeskiej — Antoniego Madeja i K. A. Jaworskiego, wierszy M. Asiejewa i I. Sielwińskiego — K. A. Jaworskiego i B. Pasternaka — M. Jastruna i S. Pollaka, artykuł S. Pollaka „Wyrobnik formy“ (o Mikołaju Asiejewie), fragment „Kolchidy“ Paustowskiego w tłumaczeniu K. A. Jaworskiego, recenzje zbiorów J. Grota, J. Korczakowskiej, L. Pasternaka, J. Pietrzkiewicza i J. Pięta.

Ciekawsze noty:

„W n-rze 17 „Prosto z mostu“ zamieszczono artykuł wstępny Ad. Doboszyńskiego pt. „O Mauriacu czyli niedobrym katolicyzmie“. Autor dowodzi, że Mauriac to „człowiek, który gubi duszę“, że swym pesymiz-

mem odstręcza raczej od katolicyzmu i że został on celowo rozreklamowany przez cały „mojżeszowo-wszczęświatowy klan“ jako pisarz katolicki. Przy sposobności dostało się Maritainowi i Gide'owi, w których p. Doboszyński węższy Żydów. Artykuł spotkał się z druzgocącą krytyką Kazimierza Wyki w n-rze 18 „Tygodnika Ilustrowanego“.

Dwutygodnik wileński „Poprostu“ został przez władze zawieszony. O czynnikach, które wpłynęły na to zarządzenie, jak i o niebywałych sukcesach pisma, wychodzącego w nakładzie 9 tysięcy egzemplarzy, informuje obszernie w n-rze 20 „Wiadomości Literackich“ Jerzy Wyszomirski.

Fala aresztowań politycznych w końcu marca nie ominęła i świata literackiego. Jak donosi „Robotnik“, uwięziono poetę lewicowego Leona Pasternaka, którego ostatni zbiorek omawiamy na innym miejscu“.

Zeszyt zdobi wkładka linorytowa — autoportret Zenona Wańkiewskiego.

WYSTAWA UCZNIÓW LICEUM PLASTYCZNEGO W MUZEUM LUBELSKIM

W czerwcu otwarto, jak zresztą corocznie, Wystawę uczniów Liceum Plastycznego. Jak co roku, Wystawa ta daje dużo do myślenia — jest przeglądem prawie wszystkich okresów rozwoju ich techniki obrazowania i tworzenia własnych koncepcji.

Oglądamy tu oleje, akwarele, grafikę (szkice, studia i grafika użytkowa). Wystawa tchnie świeżością kolorystyczną, faktura i konstrukcja obrazów jest różnorodna.

Oleje na wystawie są o wiele ciekawsze pod względem zestawień barw i ujęć perspektywicznych niż w roku ubiegłym. Na uwagę zasługuje np. „Motyw z Kazimierza“, niestety, nie podpisany (dosyć ostre operowanie plamą świetlną i cieniem). Dobry jest „Zachód słońca“ Filipa, niewątpliwie noszący ślady wpływu van Gogha, obraz niezwykle mocny w kolorze i przez to osiągnął swoją impresyjność.

Wystawa posiada, że tak powiem, bardzo duży temperament, ale jest on nieco „rozwichrzony“. Ciekawe są martwe natury — nieduże akwarele, utrzymane w bardzo subtelnej tonacji kolorów. Rysunek przedstawia się najlepiej u Pola (studium głowy dziewczęcej — tusz) i Dobosza, lecz poza tym nie ma go prawie na Wystawie. Dlaczego? Przecież rysunek to w malarstwie rzecz najważniejsza.

Malarstwo zrobiło od zeszłego roku duży krok naprzód. Grafika użytkowa stoi raczej, w porównaniu z rokiem zeszłym, na słabszym poziomie. Na tegorocznej wystawie dużo miejsca zajmuje rzeźba, poziom jest na ogół dobry. Najciekawiej prezentuje się rysunek ryty „Motyw egipski“ (dużo dynamiki) L. Mikosa i „Głowica perska“ Bodzaka. Studia głów są raczej słabe, na uwagę zasługuje tylko „głowa“ Mazurka i kopia Praksytelesowego torsu „Hermesa“.

Wystawa ta jest najlepszą z wystaw młodych urządzonych w tym roku w Lublinie. A teraz uwaga na marginesie. Złe jest, że między plastikami młodymi (zresztą nie tylko w Lublinie) panoszy się tak zwane pozerstwo — każdy z młodych chce od razu uchodzić za gotowego artystę. Talenty niewątpliwie są. Ale talenty trzeba rozwijać i kształtować.

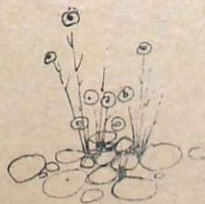
Wystawa uczniów Liceum Plastycznego warta jest by się nią zainteresować bliżej. Powinna wzniesić dyskusję, a jest nad czym dyskutować. Społeczeństwo żąda od przyszłych artystów nowych, śmiałych poszukiwań.

W swojej „Psychologii sztuki“ Malreaux napisał: „Dano wam pędzle, pamiętajcie, byście ich nie pozamieniali na miotły“.

Pamiętajcie.



A.B.T.



POWRÓCIŁ ABY PISAĆ...

Jak doniosła już prasa codzienna, w połowie czerwca powrócił do kraju były premier emigracji, wybitny pisarz i publicysta, Stanisław Cat-Mackiewicz.

Współredaktor naszego pisma, Jerzy Mikke, przeprowadził z p. Mackiewiczem dłuższą rozmowę w kilka dni po jego powrocie do kraju. Ze względu na aktualną wartość niektórych wypowiedzi red. Mackiewicza, wywiad z nim, przewidywany początkowo do zamieszczenia w „Kamieniu”, ukazał się w „Sztandarze Ludu” w dn. 21 czerwca br. Jak wynika z oświadczenia b. premiera londyńskiego, przybył on do Polski, „aby dzielić losy narodu i aby zaszczerpić mu nieufność i niechęć do wszelkich prowokacji pochodzących z Zachodu”.

Mówiąc o sytuacji międzynarodowej, polityk emigracyjny wyraził opinię, że „wojny światowej w ogóle nie będzie i wszelkie rachuby na nią są całkiem, a całkiem bezpodstawne. Nawet emigracja przestała w ostatnich czasach liczyć się z możliwością wojny”. Oceniając stosunki na emigracji red. Mackiewicz dał wyraz swemu przekonaniu, że „wielu ludzi powróci do kraju”. Pomimo dużej powściągliwości, z jaką Cat Mackiewicz przedstawił położenie emigracji i nastroje panujące na obczyźnie, odnosi się wrażenie, że traktuje on swój powrót jako zapowiedź masowej akcji repatriacyjnej, która winna niebawem nastąpić.

Obecne wzburzenie opinii emigracyjnej, jak również napastliwe ataki prasy anglosaskiej po obu stronach

oceanu na osobę red. Mackiewicza, raczej wskazują na słuszność tych przewidywań. Mówiąc o literaturze emigracyjnej p. Mackiewicz stwierdził, że nawet najwybitniejsi pisarze „nie mają żadnej prawie okazji do rozwinięcia swych skrzydeł. Młodzi natomiast, mający aspiracje literackie, starają się pracować w prasie zagranicznej. Nie udaje im się to u Anglików, którzy nie dopuszczają cudzoziemców do swoich redakcji, ale udaje się w innych krajach, czasem całkiem już egzotycznych.

Prawdziwe wydarzenie kulturalne stanowi, zdaniem p. Mackiewicza, debiut p. Bączkowskiej, autorki znakomych opowiadań zamieszczonych w „Wiadomościach” londyńskich.

W dalszej rozmowie polityk londyński poinformował o swoich planach na przyszłość: — publicystyka, literatura, historia.

Wkrótce ukaże się w Polsce monografia o Dostojewskim, wydana w ostatnich latach w języku angielskim, niemieckim, hiszpańskim, portugalskim. Z jeszcze większym zainteresowaniem powitają czytelnicy polscy pasjonującą książkę Mackiewicza o Stanisławie Auğuście.

Należy również wyrazić nadzieję, że już w najbliższych tygodniach nasza prasa literacka przyniesie szereg cennych artykułów tego wybitnie utalentowanego publicysty, naświetlających w sposób zapewne odkrywczy ponury dramat emigracji.

jotem

W S R Ó D K S I Ą Ż E K

Osiągnięcia Annales UMCS*)

Lubelskie środowisko uniwersyteckie bierze coraz żywszy udział w życiu naukowym kraju. Coraz większe są osiągnięcia uczelni lubelskich w dziedzinie nawiązania kontaktów i wymiany myśli badawczej z zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Tradycyjne i określone miejsce w tym zakresie posiada Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej dzięki swojemu wydawnictwu „Annales UMCS”.

„Annales”, założone w 1946 r. przez pierwszego Rektora UMCS, prof. dr Henryka Raabego, przetrwały zwycięsko okres „jednoczenia” wydawnictw naukowych. Zgodnie z intencją założycieli stanowić miały okazję i pobudkę do rozwinięcia twórczości naukowej pracowników jednego z najmłodszych uniwersytetów w kraju a zarazem pierwszego w Polsce Ludowej, Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Drugim z zasadniczych celów, któremu miało służyć nowe wydawnictwo, był postulat szerokiej wymiany osiągnięć badawczych z zagranicą. Stać się to miało środkiem do związania młodej uczelni z nauką światową. Z perspektywy 10 lat trzeba przyznać, że

zamierzenia te były konsekwentnie realizowane i przyniosły bardzo pozytywne rezultaty.

Imponujące są osiągnięcia wydawnictwa. Rocznie drukuje się 9 tomów różnych sekcji specjalistycznych, łącznie przeszło 3500 stron. Do chwili obecnej ukazało się w 65 tomach 724 prace na 21934 stronach druku. Redakcja utrzymuje kontakt z 1920 punktami wymiany na świecie. W drodze wymiany zaś otrzymuje 2180 czasopism naukowych o wartości przekraczającej 12 tys. dolarów.

Wydawnictwo „Annales” podporządkowane jest organizacyjnie Senatowi UMCS, w zakresie publikacji rozpraw naukowych reprezentuje trzy wyższe uczelnie lubelskie: UMCS, AM i WSR. Redakcja pisma, przy finansowym poparciu Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, prowadzi samodzielny proces produkcyjny i dystrybucyjny.

*) Na marginesie Krajowej Konferencji Redaktorów Wydawnictw Uniwersyteckich na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej.

„Annales“ posiadają ustaloną opinię za granicą, czego dowodem są recenzje w szeregu czasopiśmie zagranicznych i liczna naukowa korespondencja płaćców zagranicznych z redakcją. Poziom prac drukowanych w „Annales“ stale się podnosi, wzrasta również produkcja poszczególnych sekcji. Czasowa przerwa w pracy sekcji F (humanistycznej) została zlikwidowana dzięki powstaniu Wydziału Humanistycznego w 1952 r. W najbliższym czasie, jak informuje redaktor sekcji F, prof. dr J. Willaume, opuści drukarnię nowy numer sekcji humanistycznej, poświęcony w całości rozprawom historycznym.

Aktywność wydawnicza środowiska lubelskiego zdecydowała o wyborze przez władze Lublina za miejsce dla odbycia Konferencji redaktorów wydawnictw uniwersyteckich. Odbyła się ona w sali im. Juliana Marchlewskiego UMCS w dniach 28 i 29 maja br. W Konferencji wzięli udział: minister Szkolnictwa Wyższego E. Krassowska, przedstawiciel Wydziału Nauki KC PZPR Zemankowa, dyrektor PWN Marszałek, redaktorzy wydawnictw uniwersyteckich oraz delegaci pracowników nauki krajowych ośrodków uniwersyteckich.

Punkt wyjścia dyskusji stanowiły referaty: rektora UMCS, prof. dr. A. Burdy, pt. „Zadania i organizacja naukowych wydawnictw uniwersyteckich na tle doświadczeń Annales UMCS“ oraz naczelnego redaktora „Annales“ prof. dr. G. Seidlera pt. „Ocena dotychczasowej pracy organizacyjnej Annales UMCS“. Twórcze tezy referatów stały się podstawą szerokiej dyskusji na zebraniach plenarnych i w poszczególnych sekcjach specjalistycznych.

Celem konferencji, w rozumieniu organizatorów, była ocena na podstawie analizy dorobku wydawniczego „Annales UMCS“ i uniwersyteckich „Zeszytów Naukowych“ dotychczasowej produkcji wydawniczej uniwersytetów. Wysuwane projekty zmian i reform w zakresie publikacji osiągnięć naukowych uniwersytetów wiążą się bezpośrednio z koniecznością ożywienia pracy naukowej w ogóle, podniesienia jej poziomu, wciągnięcia zwłaszcza młodych pracowników naukowych do pracy naukowo-badawczej oraz umożliwienia jak najszerszego i jak najszybszego ogłaszania wyników ich twórczych osiągnięć. Zapewni to stały wzrost wciąż jeszcze szczerpłej kadry samodzielnych pracowników naukowych, co łącznie z zapowiadzanym odciążeniem uniwersytetów od funkcji organizacyjno-dydaktycznych pozwoli na bardziej intensywne rozwinięcie badań naukowych.

Poprawę sytuacji widzieli dyskutanci przede wszystkim w decentralizacji wydawnictw naukowych w kraju. Doświadczenia minionych lat wykazują, że wydawnictwa centralne, skupiające 80% periodyków naukowych, nie są w stanie zaspokoić stale rosnących potrzeb publikacyjnych ośrodków uniwersyteckich. Nielusne zaś uprzywilejowanie pod względem wydawniczym ośrodka stołecznego odbywa się z krzywdą dla uniwersyteckich ośrodków prowincjonalnych. W wielu wypadkach centralne specjalistyczne czasopiśmie naukowe stały się regionalnymi czasopismami warszawskimi (prof. dr K. Grzybowski, UJ-Kraków). Dotyczy to zwłaszcza możliwości publikowania prac naukowych w ogóle. W samych tylko wydawnictwach Państwowego Wydawnictwa Naukowego, według informacji dyr. Marszałka, 49,5% autorów reprezentuje Warszawa. Fakt ten przyczynia się do poważnego ograniczenia możliwości ogłaszania prac przez autorów pozawarszawskich, skazując naukowców ośrodków prowincjonalnych na swego rodzaju izolację intelektualną (prof. dr G. Seidler, UMCS — Lublin). Sprawy tej, jak wskazywano w dyskusji, nie rozwiązują uniwersyteckie „Zeszyty Naukowe“. Z interesujących obliczeń prof. dr. K. Grzybowskiego wynika, że z limitu 75 arkuszy wydawniczych dla „Zeszytów Naukowych“ Uniwersytetu Jagiellońskiego

w stosunku rocznym, przypada praktycznie 1,5 arkusza druku dla pracownika naukowego na lat 10!

W związku z powyższym postulowano obok stopniowej decentralizacji utrzymanie pewnych centralnych czasopiśmie ogólnokrajowych, nie koniecznie w ośrodku stołecznym, z powołaniem do komitetów redakcyjnych przedstawicieli wszystkich ośrodków uniwersyteckich i umożliwienie częstszego drukowania w nich prac uniwersyteckich ośrodków prowincjonalnych (wniosek Sekcji humanistyczno-prawnej). Domagano się również zwiększenia limitu wydawniczego dla wydawnictw uniwersyteckich. Przemawia za tym między innymi sprawa jawności naukowej, którą podnoszono w dyskusji (min. Krassowska i prof. dr A. Gieysztor, UW-Warszawa). Chodzi mianowicie o publikowanie prac (choćby w obszernych streszczeniach), stanowiących podstawę do uzyskania stopni naukowych.

Sporo miejsca poświęcono zagadnieniu recenzji kwalifikujących prace do druku. Dotychczasowe recenzje stawały się często symbolem wszystkich wypażeń naszego życia naukowego, sprzyjając zjawiskom monopolizmu i dogmatyzmu (prof. dr J. Paszewski, UMCS-Lublin, min. Krassowska). Uformowany w wyniku tej sytuacji swoisty podział w nauce na twórców i krytyków hamował w wielu wypadkach postęp naszej wiedzy. Wypowiadano się za wyeliminowaniem recenzji typu prewencyjnego, z zatrzymaniem jednak recenzji dotyczących istotnej wartości pracy.

Dla zaradzenia brakowi funduszy i zbyt długiemu cyklowi produkcyjnemu prac naukowych wysunięto postulat pod adresem Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, umożliwienia zagospodarowania, we własnym zakresie ośrodków uniwersyteckich, potrzebnych środków (doc. dr L. Kaczmarek, UMCS). Domagano się zwrotu zlikwidowanych oraz otwarcia nowych zakładów typograficznych na użytek ośrodków uniwersyteckich. Wsuwano potrzebę ożywienia badań i umożliwienia publikacji ich wyników w zakresie zaniedbanych dziedzin naszej nauki, np. socjologii (prof. dr G. Seidler, UMCS).

Nie uzgodniono poglądów w kwestii dalszego powoływania „Zeszytów Naukowych“. Niektóre z wychodzących „Zeszytów“, jak na przykład historyczne Uniwersytetu Łódzkiego, spotkały się z krytyczną oceną prof. dr A. Gieysztera. Przy różnicy zdań wyraźną poglądem, że stosunkowo najlepszym rozwiązaniem jest tworzenie w ośrodkach uniwersyteckich wydawnictw typu „Annales UMCS“. Wydawnictwa takie, nie pokrywające się w zupełności z formami edytorскими „Annales“, należałoby tworzyć przy istniejących Towarzystwach Naukowych. Dużą wagę przywiązywano zwłaszcza wymianie publikacji, na sposób „Annales“, z zagranicą.

Wydawnictwo „Annales“ omawiane było wielokrotnie w dyskusji, spotykając się z pozytywną oceną. Podkreślano również jego słabe strony, zwłaszcza w zakresie techniki edytorskiej i sposobu dystrybucji. Okazuje się, że numery „Annales“ najtrudniej znaleźć na rynku księgarskim w kraju. Proponowano zwiększenie nakładu lub drukowanie dużej liczby odbitek rozpraw (prof. dr Z. Raabe, PAN-Warszawa). Sprawa powołania do życia „Zeszytów Naukowych“ na UMCS wywołała rozbieżne opinie. Przeważał pogląd wydawania jednorazowych publikacji książkowych przy „Annales“, w rodzaju Księgi Pamiątkowej UMCS, która niebawem ukaże się, lub materiałów z ostatniej sesji naukowej na Wydziale Prawa UMCS.

Wymiana doświadczeń edytorских, poruszenie szeregu istotnych spraw związanych z podniesieniem aktywności naukowej ośrodków uniwersyteckich stanowią o doniosłości obrad Konferencji. Zadania bowiem i rola wydawnictw naukowych związane są najściślej z zadaniami i rolą nauki w społeczeństwie.

Od poziomu publikacji, stopnia organizacji i sprawności wydawniczej zależy w dużym stopniu naprawa sytuacji w nauce polskiej (tezy referatu rektora prof. dr. A. Burdy). Poprawę tę rokuje wysunięte postulaty referatów i dyskusja. Należy podkreślić, że dwudniowe obrady konferencji stanowią niewątpliwie przedłużenie ogólnych tendencji przemian w zakresie pracy szkolnictwa wyższego, zapoczątkowanych Zjaz-

dem Rektorów Wyższych Uczelni w Sopocie i projektowanymi uchwałami o pracy szkół wyższych.

Dla ośrodka lubelskiego, szczególnie zaś redakcji „Annales UMCS”, Konferencja Redaktorów stanowi duży sukces. Należy przypuszczać, że wyniki jej pozwolą redakcji usunąć pewne niedociągnięcia i postawić pracę na jeszcze wyższym poziomie.

Ryszard Orłowski

Debiut Ludwiki Woźnickiej*)

Nasza krytyka cierpi na „aprioryzm”. Na jakiś przerosł „filozofii” i to filozofii w nienajlepszym tego słowa znaczeniu. Oczywiście, każdy krytyk musi być trochę filozofem. Jeżeli odważa się na sądzenie, musi mieć jakieś kryteria, które sędzić mu pozwalają. Wszyscy mamy mniej lub bardziej sprecyzowany ideał literatury i w konkretnych utworach poszukujemy jego realizacji. Najczęściej nie znajdujemy jej — to powoduje sprzeciw. Niekiedy — nasz ideał, pod ciśnieniem rzeczywistości, ulega korekturze.

Żeby jakoś „zobiektywizować” ten swój ideał, krytycy korzystają z pojęć opracowanych (?) przez estetykę. Kiedyś, żeby uzasadnić sprzeciw, wystarczało okrzyk: „formalizm”. Potem bardzo płodne okazało się tu widmo „schematyzmu”. Ostatnio krytycy straszą naturalizmem.

A jednak — nawet w „uprzedzeniach” możliwa jest i obowiązuje jakaś uczciwość. Jeżeli już rzeczywiście krytyka musi być jakimś przymierzaniem konkretów do ogólnych idei, to niemniej konieczny jest przecież szacunek dla tych konkretów — trzeba je widzieć takimi, jakimi są.

Michał Głowiński, w swym wyroku na „młodą prozę roku 1955” („Życie Literackie” 1956, nr 5) — a wyrok ten brzmi właśnie: „naturalizm” — przytacza jako przykład, „żeby nie być gołosłownym”, opowiadanie „W poradni” Ludwiki Woźnickiej (z tomu „Ocalenie”). Doprawdy, trudno pogratulować Głowińskiemu powodzenia w sztuce dokumentacji. Bo dla uważnego czytelnika opowiadań Woźnickiej wcale nie grzech autentyzmu jest czymś zasadniczym (wątpliwe zresztą, czy „normalny” czytelnik zabiera się do lektury z katechizmem w drugiej ręce). Już samo to opowiadanie „W poradni” przynosi coś więcej, niż tylko beznamietne relacjonowanie nieważnych faktów. Historia Madzi — wcale przecież nie banalnie podana — czegoś się domaga, jest nie tylko historią Madzi. Fakt jej przyścia do poradni na pewno nie jest „gołym faktem”. Nie wierzę Głowińskiemu, że dowiedział się z tej noweli tylko tyle, „że są poradnie, do których przychodzą młodzi ludzie”.

To prawda, na próżno szuka się u Woźnickiej wielkich syntez, odkrywczych propozycji w sprawie ludzkiego losu, dramatycznych starć i zawężeń. (Przez

chwilę wydawało mi się, że odnalazłem coś takiego w opowiadaniu „Prawo” — jakiś zasadniczy konflikt między koncepcją unormowanego, podległego regułom losu, a wewnętrznym, głębokim anarchizmem życia. Ostatecznie jednak doszedłem do wniosku, że problem tego opowiadania został w zupełności rozwiązany ostatnią uchwałą o przymusowym leczeniu nalogowych alkoholików).

Filozofia Woźnickiej jest filozofią współczucia i zaufania, a nie filozofią walki. Człowiek jest dobry. Jeżeli zdarzają się nieszczęścia, to zawsze są to tylko jakieś pomyłki, błędy w funkcjonowaniu ludzkiej natury; błędy, których przyczyn autorka nie stara się poszukiwać. Wystarcza jej właśnie — współczucie. I zaufanie — wszystko idzie ku lepszemu. Taka filozofia mogłaby być bardzo uboga, gdyby nie była — szczerą. Wtedy nawet łatwo byłoby odnaleźć „usprawiedliwienie”, wytłumaczyć to „historycznie” — obowiązującą wówczas (rok wydania „Ocalenia” — 1954, a niektóre opowiadania pisane były zapewne wcześniej) koncepcją „łatwego optymizmu”, ciśnieniem tego, co Maria Dąbrowska nazwała — jakżeż dyskretnie! — ówczesną „konwencją literacką”... Tymczasem jednak szczerść, prawda przeżycia, każą traktować opowiadania Woźnickiej nieco poważniej. Szczerść Woźnickiej jakoś wzbogaca tę filozofię i — ostatecznie — jakoś przekonuje czytelnika. Przekonuje niebezpiecznie — trzeba się bronić przed tym przekonaniem — ale przecież konieczność takiej obrony stanowi o niemałym osiągnięciu autorki. Doprawdy, trudno tu jest mówić o jakimś „naturalizmie” — naturalizm nie chce, nie narzuca, o niczym nie stara się przekonać.

Gdybym chciał jednym słowem scharakteryzować opowiadania Woźnickiej, powiedziałbym, że są to opowiadania bardzo kobiece. Jakieś czułe przygarnięcie cierpiącego świata, macierzyńskie nieledwie ciepło i — dziewczęca naiwność. Niestety, „kobiecość” nie jest kategorią estetyczną i określenie to muszę wziąć na mój wyłącznie prywatny rachunek.

Janusz Danielak

*) Ludwika Woźnicka „Ocalenie”, „Iskry” 1954.

Przegląd wydawnictw

LUDWIK SOLSKI: „WSPOMNIENIA”¹⁾

„Wielokrotnie namawiano mnie, bym opisał swoje życie, bym zanotował dla historyków teatru to wszystko, co w nim widziałem, słyszałem i przeżyłem. Nalegano na mnie, bym się wziął do napisania pamiętników. Wzywano mnie do tego nawet na łamach prasy. Niestety! Nigdy nie miałem czasu dla siebie” — zwierza się Ludwik Solski w przedśłowiu do swoich wspomnień, wydanych przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. Wspomnienia te spisał na podstawie stenogramów licznych rozmów Alfred Wóycicki. Część ogłoszonych materiałów została przez L. Solskiego autoryzowana i obejmuje lata od 1855 do 1893. A. Wóycicki starał się, by praca jego była najwierniejszym odbiciem gawęd z mistrzem, nosząc charakter niemal autentycznego pamiętnika. Mając do dyspozycji bogate źródła, składające się z 250 kart stenogramów opowiadań Solskiego, z licznych wywiadów, ogłoszonych w prasie, zdjęć i dokumentów archiwalnych, mógł pokusić się o próbę wspominkarską, napisaną ze zrozumieniem i dużą bezpośredniością. Pamiętniki zaczynają się odległym wspomnieniem dzieciństwa, spędzonego w rodzinnym Gdowie, w Galicji, a potem następują karty obrazujące krótki pobyt L. Solskiego w szkołach, w sklepie Waltera, u ślusarza i na praktyce biurowej.

Trzon „Wspomnień” stanowią rozdziały, w których mowa o teatrze. Po dniach głodu i chłodu, tułactwa i samozaparcia L. Solski znajduje wreszcie przystań na scenie w Łodzi, gdzie Trapszo rozbił namioty, a później Kalisz, Siedlce, Piotrków i Warszawa. Śledząc życie L. Solskiego poznajemy jednocześnie poszczególne etapy rozwoju jego wspaniałego talentu i dzieje teatru polskiego, którego on był żywym symbolem. Obok H. Modrzejewskiej przewijają się na kartach „Wspomnień” takie nazwiska jak: Trapszo, Hoffmanowa, Rapacki, Leszczyński, Śliwicki, Romana Popiel, Mieczysław Frenkiel, B. Ładnowski, A. Żółkowski, Królikowski, Zapolska, Żelazowski i wiele, wiele innych. „Wspomnienia” Solskiego są napisane żywo i prosto. Porywają wartkim tokiem narracji oraz prawdą dokumentu.

PAWEŁ DE KRUIF: „ŁOWCY MIKROBÓW”²⁾

Ukazało się nowe popularne wydanie głośniejsze przed ostatnią wojną książki pt. „Łowcy mikrobów”, której autorem jest amerykański mikrobiolog, Holender z pochodzenia, Paweł de Kruij. Dzieło to wydano po raz pierwszy w 1926 r. Od tego czasu nauka notuje wiele wspaniałych osiągnięć, ale „Łowcy mikrobów” wytrzymały próbę nowej epoki i dalej przykuwają czytelnika swoją prostą, a przecież tak pasjonującą treścią. Bohaterami dzieła są pierwsi badacze bakterii,

z samozaparciem walczący z tymi niewidzialnymi wrogami ludzkości. Całość zawiera fakty z życia uczonych, z ich działalności i poświęcenia, a w posłowiu książki znajdują się wyjaśnienia pewnych zasadniczych problemów naukowych.

Książkę, zajmującą się takimi postaciami jak: Antoni van Leeuwenhoek, Lazarro Spallanzani, Koch, Pasteur, Miecznikow, T. Smith, Dawid Bruce, Reed, Ehrlich, czyta się jak sensacyjną powieść. Pasja autora góruje tutaj nad zimnym tokiem opowiadania, pasja nie tylko pisarza, lecz i uczonego, głęboko przejętego opisywanym przedmiotem. „Trochę obszerniejszego komentarza wymagają dygresje de Kruijfa” — czytamy we wstępie — „dopiero tam, gdzie do głosu dochodzi jego filozofia przyrody”. Autor „Łowców mikrobów” należy do tych, którzy bronią nauki przed niepożądanym angażowaniem się w spory filozoficzne. Według niego zgiełk filozoficznych dysput nie powinien docierać do pracowni uczonego. Mimo to stykamy się z jego filozofią w pozornie obiektywnych odezwniach się o Pasteurze oraz w teorii o chorobie i śmierci.

Książkę zdobią portrety uczonych oraz ilustracje A. Uniechowskiego. Słabe i marginesowe.

BOGUSŁAW KOGUT: „MÓDL SIĘ ZA NAMI”
I INNE OPOWIADANIA³⁾

Bogusława Koguta poznaliśmy już jako autora dwu powieści: „Zbuntowani” i „Zawieja”. Pierwsza z nich była debiutem autorskim tego pisarza i to debiutem wcale obiecującym. Gorzej wypadła druga powieść Koguta pt. „Zawieja”, w której pisarz nie ustrzegł się manieri ilustratorskiej. Niedawno ukazała się z druku nowa pozycja tego autora pt. „Módl się za nami”, stanowiąca zbiór opowiadań, opartych na tematyce współczesnej.

Kogut pisze przede wszystkim o wsi i jej sprawach. Jest dobrym, wnikliwym znawcą chłopskich trosk i chłopskiej duszy. Ale nie zawsze z tego materiału, jaki uzbiera drogą obserwacji, uda mu się stworzyć rzecz celną i naprawdę interesującą. W tomie zatytułowanym: „Módl się za nami” obok ciekawych osiągnięć spotykamy też i opowiadania raczej słabe i niedociągnięte. Takie np. jak „Jęczmień”. Historia staro Felczaka, byłego fernala, który idąc śladami Mieczurina posiał jęczmień skrzyżowany z perzem, dzieje Pietrka i Kaśki Stodolnej oraz gajowego Kuleszy, mordercy Felczaka, nie chwytają czytelnika i nie wiążą jego uwagi wskutek słabości kompozycji, braku należytego pogłębienia psychologicznego i niedociągnięć natury stylistycznej. To samo można by powiedzieć i o „Klarnecie”, którego bohaterem jest student agronomii, opętany żądzą muzyki na klarnecie. I tutaj obserwujemy wątłość akcji, zbyt wielkie skróty i uproszczenia. Do najciekawszych w zbiorze należy

¹⁾ Wydawnictwo Literackie, Kraków.

²⁾ PWL, Warszawa, 1956.

³⁾ Czytelnik, Warszawa, 1956.

opowiadanie pt. „Módl się za nami”, o dziecku NSZ-towca Derenia, Janku malarzu, studiującym Kautskiego i o Mieczu Dobieckim, który pragnie zostać księdzem, a udaje gorliwego zetempowca. Tutaj sięgnął Kogut do problemu bardzo palącego, a dotąd pomijanego przez naszych autorów. „Módl się za nami” trzeba zaliczyć do udanych i śmiałych utworów Koguta.

Książka została wydana przez Spółdzielnię „Czytelnik” brzydko i niedbale.

GUSTAW MORCINEK: „WSKRZESZENIE HERMINY”⁴⁾

Powieść Gustawa Morcinka „Wskrzeszenie Herminy” ma wszystkie cechy pisarstwa tego autora. Tematyka jak zwykle górnicza, bohaterem książki jest rębacz Zaręba, awansowany na dyrektora kopalni, a obok niego górniczy, biorący czynny udział w procesie „wskrzeszenia” Herminy.

Zaręba przybywa na stanowisko dyrektora w chwili,

⁴⁾ *Iskry*, Warszawa, 1956.

kiedy kopalnia „Hermina” jest w zupełnym rozkładzie, a węgiel już niemal całkowicie wybrany. Urządzenia na poszczególnych szybach są mocno przestarzałe lub zepsute i niejednokrotnie grożą życiu pracujących. Ale mimo to nowy dyrektor nie cofa się przed próbą „wskrzeszenia” „Herminy” i kompletnego jej uaktywnienia.

„Wskrzeszenie Herminy” posiada interesującą akcję, sporo żywych, dobrze nakreślonych postaci oraz prawdziwe konflikty. Do najlepszych należą te strony, na których spotykamy opis myśli, trosk i czynu prostych ludzi pracy, współtowarzyszy śmiałego zamiaru Zaręby. Natomiast trochę banalny i sztampowy jest wątek erotyczny powieści, dzieje miłości dyrektora Zaręby i Barbary.

Książka jest przeznaczona dla masowego czytelnika. Na pewno dobrze spełni swoją rolę.

Przy okazji należy zwrócić uwagę na stronę graficzną dzieła, nie stojącą nawet na przeciętnym poziomie: okładka jest brzydka, format książki — niezgrabny i nieporęczny.

jnk

N O T Y

TRAGICZNA ŚMIERĆ JANA LECHONIA jest wielką stratą dla polskiej literatury. Nie dotarły do nas (przynajmniej do Lublina) dwa ostatnie zbiorki poety, które ukazały się na emigracji, nie wiemy więc, w jakim stosunku pod względem artystycznym pozostają one do przedwojennej jego twórczości. Ale starczą trzy szczupłe książeczki (satyryczna „Rzeczpospolita Babińska”, „Karmazynowy poemat” i „Srebrne i czarne”), których lejtmotiwem jest ojczyzna, miłość i śmierć, a w których odświeżając tradycyjną formę stworzył niezapomniane w swej sugestywności obrazy lub przejmujące przy zastosowaniu pozornie prostych środków artystycznych liryki, aby zapewnić Lechoniowi trwale miejsce w Panteonie naszej poezji.

JAN WIKTOR w rubryce „W pracowniach pisarzy” („Nowa Kultura” nr 19) skarży się na to, że książki jego po okresie „lisenstwa” wychodzą wprawdzie dość licznie, ale „padają w pustkę”. „Zmowa milczenia tak z prawa jak i z lewa obowiązuje. Podziwu godna zgoda i zbratanie... Autor przypomina, jak w okresie przedwojennym „każda książka była omawiana na łamach dzienników, tygodników, miesięczników i to różnych poglądów, od reakcyjnych do postępowych „polskich i sjonistycznych”... „Dzisiaj lęk ogarnia pisarza po ukazaniu się książki. Najczęściej zabija się ją” — milczeniem. Ale są... „pisarze uprzywilejowani, wyróżniani, obsypywani, wysuwani do

nagród, do tłumaczeń”. „Są obok nich autorzy odsunięci poza nawias, chociaż całym swym życiem służyli postępowi, walce o sprawiedliwość wedle swoich sił i uzdolnień. Ci czują się zbędni, niepotrzebni na tym targowisku, wyrzuceni na śmietnik”. Sprawa poruszona tu przez Wiktora jest dość drażliwa, niemniej jednak w dużym stopniu odpowiada prawdzie, zwłaszcza w stosunku do tzw. prowincji. Jeśli idzie o literatów lubelskich, którzy w ostatnich dwu latach wydali kilka pozycji, o „Kamień” — panuje również wśród pism literackich z bardzo małymi wyjątkami „zmowa milczenia”.

W RB. PRZYPADA SETNA ROCZNICA URODZIN IWANA FRANKI. „Czytelnik” wydał dwa tomy jego dzieł prozaicznych. Ale ten klasyk literatury ukraińskiej (piszący i po polsku i współpracujący z niektórymi naszymi pisarzami) był również świetnym poetą, autorem pięciu zbiorów wierszy i kilku poematów. Z tej strony jest u nas prawie że nieznan. I znowu, jak w wielu innych wypadkach, jeśli idzie o rocznice, nasuwa się pytanie: czy którekolwiek z naszych wydawnictw wzięło pod uwagę możliwość wydania wyboru jego wierszy przełożonych na język polski? Według wszelkiego prawdopodobieństwa — nie. Mimo tej setnej rocznicy i mimo zapowiedzianej w tym roku „dekady ukraińskiej” w Miesiącu Poglębiań Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

-ka/-

W sprawie recenzji teatralnych i współpracy teatru z recenzentem

Przebieg ostatniej dyskusji w Klubie Pracowników Kultury na temat przedstawienia „Pasożyta” w teatrze lubelskim nastęrcza mi, jako recenzentowi teatralnemu, powód do poczynienia kilku uwag wykraczających poza ramy problematyki tamtego wieczoru. Sądze, że właściwym miejscem jest rubryka „wolna trybuna” w „Kamieniu”.

Mozna było oczekiwać, że dyrektor teatru Zdzisław Lorenowicz zagajając wspomnianą dyskusję skoncentruje uwagę słuchaczy na zasadniczym temacie, będzie zatem mówił przede wszystkim o przesłankach, jakimi kierował się wystawiając „Pasożyta” oraz przedstawi własny punkt widzenia na sceniczny kształt tej sztuki. Nic podobnego się nie stało. Usłyszełmy poglądy dyr. Lorenowicza na rolę krytyki teatralnej, będące w rzeczywistości atakiem „a recenzentów lubelskich. W tym fakcie nie byłoby jednak nic złego, gdyby prelegent przeprowadził skromną choćby analizę kilku recenzji teatralnych prasy miejscowej, wykazał błędy w ocenie inscenizacji, reżyserii, gry aktorskiej czy w socjologicznym rozbiore sztuki, lub próbował polemizować z niektórymi sądami recenzentów. Niestety, dyr. Lorenowicz ograniczył się do ogólników, mniej lub więcej słusznych, z których jednak wynikało niedwuznacznie, że właściwie krytyka teatralna na gruncie lubelskim jest czymś mało istotnym.

Pogląd ten nie jest nowy w życiu teatralnym Lublina, brzmni on jednak dziwnie w ustach człowieka, który dotychczas znajdował zrozumienie dla wszelkich elementów postępu w życiu społecznym, a krytyka jest nim przecież niewątpliwie.

W sposobie ujęcia zagadnienia przez przedstawiciela teatru należy, niestety, widzieć coś więcej niż temperament polemiczny. Jest to rezultat ulegania presji ze strony tych przedstawicieli lubelskiego środowiska aktorskiego i kulturalnego, którzy traktują — nie po raz pierwszy — sądy krytyczne na temat pracy teatru, jako szkodliwe wyroki — co najmniej próby ograniczania jego twórczej działalności. M. in. wypowiedzi niektórych aktorów i kilku osób zabierających głos w dyskusjach na temat teatru nie pozostawiają w tej sprawie wątpliwości. Świadczy o tym również „historyczna” przeszłość, zmienny artykuł Kazimierza Iwińskiego w zeszytowej dyskusji repertuarowej, tendencja do izolowania się środowiska teatralnego od widza, chęć ograniczenia się do rozważań warsztatowych we własnym gronie, szczególna wrażliwość na każde słowo najagodniej sformułowanej krytyki.

Dlatego nie kontynuuję polemiki na temat: czy słusznie czy niesłusznie, wśród ośmiu premier naszego teatru, oglądaliśmy m. in. kolejno „Nauczyciela tańców”, „Huzarów” i „Pasożyta” — warto przedyskutować pokrótce, zasadniczą sprawę — wzajemnego stosunku recenzenta i teatru, roli krytyki teatralnej w warunkach lubelskich.

Wydaje mi się, że należy zgodzić się z opinią o pozytywnej roli krytyki lubelskiej w ocenie pracy teatru w okresie dyrekcji Jerzego Ukłei i Wiktora Biegańskiego, krytyki wskazującej na ówczesne istotne błędy repertuarowe i kwestionującej atmosferę, która towarzyszyła wówczas działalności naszej placówki teatralnej. Stanowi to chyba legitymację dla celowości rozwijania dalszych sądów kry-

tycznych. Można przypuszczać również, że opinia teatralna nie kwestionuje samodzielności poglądów formułowanych w recenzjach „Sztańdaru Ludu”, często wbrew kryteriom prasy centralnej czy wpływom miejscowego środowiska. Być może warto tu przypomnieć krytyczną ocenę w epoce panującego wszechwładnie schematyzmu — „Próby sił” Lutowskiego, krytyczne uwagi pod adresem inscenizacji „Latarni” — rozwiązanej realistycznie, zgodnie z obowiązującymi wówczas wymogami, a przez to prowadzącej do sytuacji scenicznych wręcz dziwacznych, chłodne przyjęcie „Takich czasów” Jurandota, poprzeczonych przeciw zachwyta całej prasy. Te i inne oceny wyrażane były nieraz w klimacie całkowitej im niesprzyjających. Dziś nikt nie będzie usiłował bronić takiej koniunkturalnej miernoty, jak „Próba sił”, czy udowadniać, że każda baśń (w tym „Latarnię”) trzeba grać realistycznie, Nikt też, sądząc, nie uważa „Takich czasów” za poważne osiągnięcie naszej dramaturgii.

Na temat roli krytyki teatralnej napisano już w Polsce sporo artykułów, referatów i rozpraw, mógłbym przytoczyć tu wiele słusznych uwag i wniosków. Chodzi mi jednak o podkreślenie, że zadaniem i obowiązkiem recenzenta pisma terenowego jest analiza każdej nowej pozycji repertuarowej — pod kątem widzenia jej przydatności w miejscowych warunkach, przy uwzględnieniu niezmiennego kryterium — funkcji społecznej i kształtującej teatru. Recenzent powinien zachować samodzielny sąd co do wartości samej sztuki i jej scenicznego kształtu, nie wolno mu ulegać sugestii otoczenia, miejscowego środowiska czy poglądów innych recenzentów. Natomiast analiza literacka sztuki nie jest dla czytelnika pisma codziennego, a zwłaszcza terenowego, ani dla teatru, sprawą pierwszorzędnej wagi. Przygotowanie fachowe recenzenta musi być tego rodzaju, aby chroniło go w poważnym stopniu od błędów w charakterystyce reżyserii, inscenizacji i wykonania aktorskiego. Bardziej szczegółowo, a nawet drobiazgowy rozbiór przedstawienia jest obowiązkiem prasy fachowej i tygodników kulturalnych.

Obronne stanowisko teatru w stosunku do uwag krytycznych, przypisywanie krytyce roli taranu burzącego świątynię teatralną, sztuczne piętrzenie idealnych wymogów w stosunku do recenzenta, nie może sprzyjać rozwojowi placówki teatralnej ani też doskonaleniu się rzemiosła recenzentkiego. Afirmacja wyboru każdej sztuki, każdego scenicznego kształtu przedstawienia doprowadziłaby do absurdalnej wymiany komplementów między recenzentem a teatrem i w efekcie — recenzje do mdłych sprawozdań, nie wnoszących nic istotnego dla teatru ani dla czytelnika — widza.

Nieco uwagi pragnąłbym poświęcić jeszcze sprawie gry aktorskiej. Nie uważam, aby i w tym zakresie recenzje lubelskie były całkowicie wolne od sądów niesłusznych lub powierzchownych. Nie zgadzam się jednak z teorią, że charakterystyka gry aktorskiej ma być wypadkową poglądów różnych osób. Zwolennicy tej teorii szermują zazwyczaj argumentem odpowiedzialności, jaka ciąży na recenzencie przy ocenie twórczej i trudnej pracy aktora. Wielokrotnie miałem dowody nieobiektywności podsuwanych mi sądów, dlatego w zasadzie nie przy-

wiążując do nich wagi. Sądzę, że recenzent, jeśli myli się zasadniczo, nie może pełnić swych obowiązków. Jeśli jednak nie jest mu cofnięty kredyt zaufania, jego opinia powinna być subiektywna, oparta na własnej analizie i znajomości teatru. Po ostatniej dyskusji, wydaje mi się szczególnie konieczne to podkreślić.

Czy oceny recenzenta: celowości wyboru sztuki i jej kształtu scenicznego nadanego przez teatr są niezaskarżalnymi wyrokami? Oczywiście, że nie. Zespół teatralny nie tylko może, ale powinien z nimi polemizować, jeśli uważa je za niesłuszne, ale — na gruncie rzeczowej dyskusji. Obie strony muszą stosować wobec siebie jednakowe kryteria.

Politykę prasy miejscowej w okresie ostatniego roku — nie krytykowania działalności teatru — uważałem za niesłuszną. Doprowadziła ona do poważnych błędów repertuarowych (repertuar ekle-

tyczny nie oznacza repertuaru przypadków). Jeśli ostatnia enuncjacja Zdzisława Lorenowicza ma być zimnym tuszem dla przedstawiciela takiego poglądu, asekurującym teatr przed próbami krytycznej oceny jego decyzji repertuarowych, nie wróży to nic dobrego na przyszłość niezależnie od tego, czy wybór „Pasożyta“ był słuszny czy nie. Nie powinny nas sugerować w tym względzie rzęsiście oklaski, z jakimi spotkała się prelekcja Lorenowicza, doświadczenie uczy, że jest to jednak, na ogół, zawodny sprawdzian merytorycznej słuszności wypowiedzianych poglądów. Nowoczesnego recenzenta, choćby był tak niedoświadczony przedstawicielem tej trudnej sztuki, jak niejaki podpisany — nic nie dzieli z teatrem, żadne antagonizmowe sprzeczności, łączy go natomiast wspólne pragnienie, aby teatr najlepiej służył społeczeństwu.

Edmund Grzybowski

W odpowiedzi na pewien artykuł

1.

My młodzi — piszemy celowo w liczbie mnogiej — musimy bez przerwy szukać czegoś nowego, niezależnie od warunków, w jakich się znajdujemy. Musimy szukać siebie, a to jest chyba najtrudniejsze. Szczytem jest Stone'owska pasja życia. Ale dokąd owo samotne szukanie nieskrystalizowanego „czegoś“ doprowadzi? Myślę w tej chwili o młodej poezji, która znalazła się na rozdrożach. Co chwila ktoś biegnie którąś z dróg, by z niej po upływie jakiegoś czasu zawrócić. Nie zawsze powraca złamany, czasem zwycięsko, ale przecież zawsze nazywamy to powrotem. Dlaczego tak się dzieje? Słyszałem zdania takie: „obecna twórczość doprowadza do absurdu“, „poezja staje się coraz bardziej abstrakcyjna“.

Postaram się omówić te sprawy według jakiejś kolejności, zaznaczyć chciałbym tylko, że nie zabieram głosu w imieniu wszystkich kompetentnych w tej sprawie, lecz na pewno wypowiadam zdanie wielu z nich.

2.

Dzisiaj bardzo modne jest jeszcze słowo „odwilż“. Młodzi się otrząsnęli, piszą śmieiej. Ale dlaczego w obecnej poezji tak mało optymizmu? Raczej wszystko pokryte jest grubą warstwą pesymizmu. To potwierdza, że w walce o nową formę, w walce ze schematyzmem, poeci (nie wszyscy oczywiście) znajdują się na rozdrożu. A przecież

*„Poeta to na pewno ktoś“
Słuchajcie głosu poety
Choćby ten głos
był cienki jak włos
jak jeden włos Julietty*)*

Różewicz jasno pokazał właściwą drogę nowej poezji, w jego poezji nie czujemy pesymizmu. Obecnie daje się zauważyć wśród „pieszczochów“ pewna dezorientacja i zagubienie. Ci wszyscy, którzy im do tej

pory szli na rękę, nagle odwrócili się od nich, rzucając hasło: odwilż. Młodzi, którzy przedtem pisali „typowo“ i „po linii“, załamali się, skończyła się zabawa. Ci, którzy dawniej zarzucali im nieideologiczność, teraz zarzucają im schematyzm, że nie idą z duchem i et caetera. Młodzi opuścili z goryczą ręce. Nie wiedzą, jaką teraz pójść drogą, nikt im jej nie chce wskazać, pozostawiają się sami sobie. I chociaż „per aspera ad astra“, niemniej przeto powinien się znaleźć ktoś, kto by sypał te ciernie, ale i przysuwał jednocześnie gwiazdy. A. Ważyk w swoim „Poemacie dla dorosłych“ pisze:

*„przywołali na pomoc literaturę
pięćdziesięciu smarkulek...“*

i słusznie. Owa powojenna literatura (wyłączając kilka dobrych rzeczy) to naprawdę smarkuła, która sama powinna się uczyć. Daje się zauważyć, że młodzi często wpadają w jakąś straszną manierę. Piszą wiersz, ale nie wiedzą, co chcą w nim powiedzieć, używają szumnej wielkiej metafory. Mówią: naszym wzorem Przyboś, Apollinaire, Neruda, Rimbaud, Eluard, Aragon, Różewicz... Co więcej — powstało bardzo ciekawe skojarzenie, po prostu etykieta Przyboś-Różewicz lub Różewicz-Gałczyński. Każdy poeta (młody) stara się bodaj jej kawałek sobie przykleić i... hajda! on już poeta. Awangardzista. Wio, prosta droga w zwycięskiej kwadrzyce Poezji na Prasną. Stop! Nie tędy droga. Co innego Przyboś i Różewicz — w ich poezji jest skrót myślowy. A co innego belkot. Metafora, która jest po prostu w a t a. Przez watę rozumieniem zlepek bezsensownych słów bez najmniejszego pokrycia, pogmatwanych, bez początku i końca.

Z czego wynika belkot? Z braku inwencji twórczej i miernika jej potencjału. Sam miałem okres leczenia na watową metaforę. Przytoczę fragment:

*Kąpią się gwiazdy w winie
pucharze nocy przejrzyście
w łomocie leżących ciał kosmicznych
na ziemię...
...gwiazdy upite winem*

*) T. Różewicz — „Uśmiechy“ str. 8.

tańczą po marynarskiej busoli
spętane wścieklą wichurą
wyrwaną z gondoli.

Co to? — zapyta ktoś. Odpowiem: zlepek słów bez pokrycia, właśnie — wata. Z czego wypływa u poetów owa wata? Może to drzemający snobizm. Chęć zabyśnięcia niejasnością. Kiedyś jeden z moich kolegów powiedział: Norwid też pisał niejasno.

Tylko że Norwid nie bełkotał.

Ów bełkot wynika z nieusamodzielnionego myślenia. Młodzi nie chcą myśleć.

3.

Sprawą trzecią i chyba najważniejszą jest sprawa ignorancji. W Lublinie na otwartej dyskusji Koła Młodych padło stwierdzenie: „My młodzi jesteśmy ignorantami”.

Dlaczego jesteśmy ignorantami? Otóż nie uznajemy kompletnie autorytetów. Staramy się je omijać.

Napawamy się sobą. My twórcy — to brzmi dumnie i wyzywająco. Do nas, młodych, należy świat.

Inna sprawa, że z autorytetami nie zawsze jest dobrze. Pomiędzy „starymi“ pisarzami a nami młodymi sprawy nie układają się najlepiej. W dużym stopniu nie odczuwamy więzi, którą się z nimi łączymy przez pisanie. Centralne pisma literackie stanowią rodzaj rezerwatów, w których młodych drukuje się bardzo

mało. Obecnie kilkanaście razy na rok, a co było dwa lata temu?

Większe szanse mają młodzi w redakcji krakowskiego „Życia Literackiego”, gdzie w każdym prawie numerze drukowane są ich wiersze. Najwięcej miejsca poświęca młodym „Kamena” (od początku br.). Jednak stworzenie obecnego już na rynkach miejskich literackiego pisma młodych, stworzenie ich własnego kolegium redakcyjnego jest sprawą bardzo ważną.

Szukamy programu, czekamy na jakiś wielki przełom w poezji. Czekamy na uczciwą, serdeczną, dogłębną krytykę. Może wtedy z wielkiej płataniny niepewnych dróg wytryśnie jedna autostrada, do której prowadzić będzie prawdziwy talent.

Stworzono Lubelski Klub Młodej Inteligencji.

A więc mamy dwa kluby — starych i młodych. Czekamy jeszcze na trzeci: pośredni — który chyba będzie obu stronom zainteresowanym najlepiej odpowiadał. I może nie będzie dezorientujących artykułów, w których bije się młodzież, by na końcu dać jej polizać cukierka (zresztą w nienajlepszym gatunku)*).

*) Vide artykuł Matyldy Wełny w dodatku do kwietniowego numeru „Sztandaru Ludu”...

Andrzej Bruno Turczyński

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ob. Stan. Woyt. „Tran“ nadawałby się raczej do pisma dla dzieci.

Ob. Roch Sęcz. w Warszawie. Najlepszy — „Ciężki wiersz“, ale jeszcze nie dla nas. Sądźmy, że warto pracować. Przyślijcie coś nowego za kilka miesięcy.

Ob. Wł. Makom. w Warszawie. Warto pracować, ale tępicie upodobanie do baroku. Więcej prostoty!

Ob. X. który nadesłał wiersze z papierów Poetyłłów wojsławickich. Nie zamieścimy.

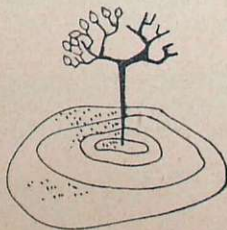
Ob. „Dolores“ w Lublinie. Słabe.

Ob. Mar. Por. w Zawierciu. Na razie jeszcze nie do druku.

Ob. Karol D. w Krakowie. Z nadesłanych fraszek może zamieścimy „Postępowego astronautę“, „Satyryka“, „Administrację“ i „Serce“.

Ob. Sław. Kr. w Piastowie. Zatrzymujemy w tece „Panienkę z miasteczka“.

Ob. Janusz Jęcz. w Warszawie. Nie podzielimy przytoczonych opinii o Waszych wierszach. Jeżeli będziemy mieli miejsce, zamieścimy „W przedzień“.



T R E Ś Ć

STEFAN KRÓL: Z problemów inteligencji	1
JERZY MIKKE: Kluby — ruch społeczny inteligencji	3
JAN LECHON: Spotkanie	6
ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI: O demokratyczny charakter kultury	6
NOTATKI CYNIKA — <i>JaD</i>	10
LESZEK SIEMION: O czym posłowie lubelscy zapomnieli powiedzieć na Sejmie	11
ADOLF LEKKI: O zesłorocznych stertach i innych aktualnych sprawach	13
JÓZEF RATAJCZAK: Dzwon; Wiersz	16
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: Matki	17
PROFILE LUBELSKICH TWÓRCÓW: Prof. dr Leon Halban — <i>Ć. W.</i>	22
EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI: „Pasożyt” na scenie Teatru im. Osterwy	24
W KRĘGU CYFR I ANKIETY — <i>Zbigniew Stepek</i>	26
WOJCIECH KIEŁCZEWSKI: Mozart	28
EUGENIUSZ KAZIMIERZ STESZUK: ***	28
JERZY KSIĘSKI: Niebieski płomień	29
KOŁO MŁODYCH ZLP PRZED WAKACYJNĄ PRZERWĄ: <i>Z. S.</i>	29
Z KOŁA MŁODYCH PLASTYKÓW — <i>MM i HP</i>	30
MARIA BEHCZYC-RUDNICKA: Czy „Kamena” może być kamena?	31
O CZYM PISAŁA „KAMENA” PRZED 20 LATY — <i>kaj</i>	33
WYSTAWA UCZNIÓW LICEUM PLASTYCZNEGO W MUZEUM LUBELSKIM — <i>ABT</i>	33
POWRÓCIŁ, ABY PISAĆ... — <i>jotem</i>	34

WŚRÓD KSIĄŻEK:

RYSZARD ORŁOWSKI: Osiągnięcia Annales UMSC	34
JANUSZ DANIELAK: Debiut Ludwiki Woźnickiej	36
PRZEGLĄD WYDAWNICTW — <i>jnk</i>	37

NOTY:

Tragiczna śmierć Jana Lechonia; Jan Wiktor w rubryce „W pracowniach pisarzy”...; W rb. setna rocznica urodzin Iwana Franki — <i>kaj</i>	38
--	----

CZYTELNICY POLEMIZUJĄ:

EDMUND GRZYBOWSKI: W sprawie recenzji teatralnych i współpracy teatru z recenzentem	39
ANDRZEJ BRUNO TURCZYŃSKI: W odpowiedzi na pewien artykuł	40

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

(str. 41)